



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 10 października 1954 r.

Nr 41 (237) Rok V

W DWUDZIEŚCIĄ ROCZNICĘ ZGONU
WIELKIEJ UCZONEJ



Maria Skłodowska-Curie i Piotr Curie w laboratorium

CZYTELNICZY PISZA:

JERZY KRASUSKI

Kłopoty z oświatą

Chodzi o szkoły dla pracujących. Odsetek ludzi bez ukończonych siedmiu klas szkoły podstawowej jest wśród pracowników naszych zakładów przemysłowych i rolnych bardzo znaczny. W Poznaniu na każdy tysiąc robotników przypada osiemdziesięciu bez wykształcenia podstawowego. Jest rzeczą oczywistą, że bez rozwiązania tego problemu, bez likwidacji tej „wyższej formy analfabetyzmu” nie będziemy mogli dać sobie rady z podstawowymi zagadnieniami naszej gospodarki i kultury. Rozwój wydajności pracy, racjonalizatorstwa, świadomości politycznej i wyrobienia kulturalnego mas zależy od wielu czynników, ale w pierwszym rzędzie zależy od owych siedmiu podstawowych klas. Niebawem przecież rozpocząć mamy kampanię o powszechność wykształcenia średniego.

Mając to wszystko na uwadze utworzono w Polsce Ludowej szkoły dla pracujących. Uczniami w nich mają być robotnicy, właściwie bez ograniczenia wieku. Nauka odbywa się po południu, cztery razy w tygodniu po cztery godziny. Ukończenie szkoły dla pracujących daje te same uprawnienia co szkoła normalna. Program jest minimalnie skrócony. Wymagania są — mówimy po cichu, żeby wizytatorzy nie słyszeli — obniżone. Szkoła idzie wobec robotników na wszelkie możliwe ustępstwa. Do domu „nie daje się”. Materiał utrwała się na specjalnych lekcyjach konsultacyjnych. Podręczniki kupują uczniom rady zakładowe.

Robotnik uczęszczający do szkoły jest mimo to w bardzo trudnej sytuacji. Przychodzi do szkoły zmęczony, wprost od pracy, często bez obiadu, nieumyty. W zakładzie pracy nie korzysta z żadnych ulg produkcyjnych, co najwyżej zwalnia się go z zebrań. O innych trudnościach napiszemy niżej.

Rezultat tych trudności, których lista niełatwo byłaby do wyczerpania, jest taki, że szkoły dla pracujących świecili i świecą pustkami. Miejsce robotników zajmują na ławach szkolnych chuligani i nieroby, przodownicy w niedostatecznych, „wypędki” ze szkół zwykłych, repetycji i nade wszystko „martwe dusze”, nie figurujące nigdzie więcej jak tylko w dziennikach i sprawozdaniach statystycznych.

W bieżącym roku szkolnym zapowiedziano radykalną zmianę tego stanu rzeczy. Z ośrodków centralnych rzucono hasło wzmoczonej rekrutacji robotników. Szkoła dla pracujących na terenie Poznania-Wschód, która w ubiegłym roku ukończyło 12 (dwunastu) rzetelnych robotników, otrzymała „limit” (uroczy termin!) — 100 (stu) uczniów. Zaczęliśmy więc rekrutację.

Nauczyciele ruszyli do zakładów pracy, zaczęli „uświadamiać” rady

zakładowe, nachodził personalnych, prosił dyrektorów. Po tej pracy wstępnej odbywały się spotkania z robotnikami. W tym celu personalni sporządzali listy robotników, którzy nie ukończyli siedmiu klas, rady zakładowe zakładały robotników aby kształcili się, dyrektorzy zaś patrzyli przez palce, że przeszkadza im się w produkcji.

W tej pracy kulturalno-oświatowej, która trwała od maja do września, pomagały władze przemysłowe i związki zawodowe nadsyłając okólniki i żądając sprawozdań. Bardziej owocny był nacisk ze strony PZPR, która w tym roku ze specjalnym nakładem wysiłku wzięła się do likwidacji zacofania oświatowego. Sekretarze POP byli tymi ludźmi, którzy na problem oświaty i rekrutacji nie patrzyli przez okulary okólników i wykazów, ale widzieli w tym wielką kampanię polityczną.

Mimo tych wszystkich wysiłków wyniki rekrutacji są całkowicie do nich niewspółmierne. Nie ma mowy, by szkoła, w której pracując, osiągnęła swój „limit”. „Limit” ten nie był nierealny: 100 uczniów. Stojące obok szkoły zakłady „Lechia”, „szczytą się” posiadaniem 206 pracowników nie mających za sobą siedmiu klas szkoły podstawowej, „Pomel” — 250, Państwowy Monopol Spirytusowy — prawie 100. A przecież Poznań-Wschód jest dzielnicą przemysłową. Posiada on „starej katedry szczątki, zakładów dziewięć i gdzieniedzie domki”.

Gdzie są przyczyny klęski? Chodźmy z czytelnikami na rekrutację, przekonamy się.

O SPOSOBACH POWITANIA

W pomieszczeniu rady zakładowej firmy „Stomil” (znamy, znamy, oczywiście guma) panuje tłok. Podchodzimy do jakiegoś obywatela w kitlu.

— Chcielibyśmy z przewodniczącym...

— A wy... po jakiej linii?

— W sprawie szkolenia...

— To do personalnego.

Kropka. Musimy wyjść, bo w tłoku przepycha się ktoś po innej linii. Tak było w roku ubiegłym.

W roku bieżącym miało być inaczej. Rekrutację przeprowadza organa związków zawodowych. Nauczyciele służby będą wyłącznie specjalistami do organizacji szkół.

Idziemy więc w sierpniu: do rad zakładowych i do personalnych. Nigdzie nikt nic nie wie. Komisji rekrutacyjnej nie ma. Pierwszy raz słyszą. W jednym tylko zakładzie coś sobie przypominają: „Przed kwartałem była w tej sprawie jakaś kobieta” — powiada personalny w Państwowym Przedsiębiorstwie Kolejowym nr 6. Mniejśja o formę: chodzi o prawa o kierowniczkę szkoły...

Są oczywiście zakłady, które biorą się do roboty, jest wzorowa „Le-

(Dokończenie na str. 2)

Na kilka dni przed przyjazdem do Moskwy Teatru Polskiego okazało się, że liczby na obejrzenie jego przedstawień niesposób.

Obešliśmy wszystkie dzielnicowe kasy teatralne, wszystkie kioski z biletami na stacjach metra — i wszędzie ta sama odpowiedź: „Wyprzedane”.

Najzagorzalsi moskiewscy teatromani (a chyba w żadnej stolicy świata nie ma ich tylu, co tutaj!) musieli widać długo i uważnie czatować na chwilę nadejścia biletów do kas, aby, wyprzedzając swoich mniej szczęśliwych rywali o parę zaledwie minut, w mgnieniu oka rozchwytać nawet najgorsze miejsca balkonowe. Zresztą do kas nadeszło nie tak znowu dużo biletów — lwią część zarezerwowano dla najrozmaitszych instytucji, związków twórczych, redakcji itp., nie pokrywając w pełni i ich zapotrzebowania. Opowiadano mi, że w Ministerstwie Kultury leży gruby plik podań o przydział biletów, w tym wiele spoza Moskwy, np. od artystów leningradzkich i innych. Zważywszy zaś, że w znakomitym moskiewskim Teatrze Małym, który użyczył swej sceny Teatrowi Polskiemu, mieści się 1200 widzów, co pomnożone przez dziesięć zaplanowanych przedstawień czyni dwadzieścia tysięcy, chęć uwzględnienia wszystkich podań nosiłaby charakter utopijny.

Uświadomiwszy sobie to wszystko, poczułem pewną ulgę na myśl o sytuacji odnosnych pracowników Ministerstwa, w tej chwili stokród beznadziejniejszej od mojej — i postanowiłem za wszelką cenę — podstępem, przez protekcję, obojętnie jak — dostać się na przedstawienia Teatru Polskiego.

„LALKĄ”

Na „Lalkę” natłok był bodaj największy: złożyła się na to i wyjątkowa popularność powieści Prusa w ZSRR, i fakt wysunięcia tego właśnie przedstawienia na czoło repertuaru, każący spodziewać się, iż jest to szczególnie wybitna pozycja Teatru Polskiego.

Świąteczny nastrój premiery. Na korytarzach walka o grube, bogato ilustrowane programy. Na widowni — znajome twarze moskiewskich aktorów, literatów, polonistów. Pracownicy Ambasady prawie w komplecie, z ambasadorem Lewickim na czele.

W imieniu gospodarzy wita polskich gości główny reżyser Teatru Małego K. Zubow. Odpowiada mu Bronisław Dąbrowski, którego słowa publiczność przyjmuje z dużą serdecznością. Grupa aktorów moskiewskich — wśród nich wielkie artystki Ałła Tarasowa i Halina Ulanowa — wręcza polskim kolegom kwiaty.

Mam przejsz do opisu premiery spektaklu — i czuję się wyraźnie zakłopotany. Nie jestem zawodowym recenzentem, trudno mi więc odnaleźć właściwy ekwiwalent stylistyczny dla wrażenia, jakie odniosłem. Niech mi ta niepomarność będzie wybaczona — a co się stało, opowiem.

Zacznijmy od tego, że sama inscenizacja dzieła Prusa, dokonana przez Z. Leśnodorskiego, nie może się chyba w żaden sposób zaliczać do udanych. To „Lalka” odarta z uroków niezrównanej prozy warszawskiego kronikarza, a nie wzbogacona w zamian o wartości, którymi dysponuje dramaturgia: „Lalka” nie dynamiczna, o leniwie rozwijającej się akcji, o dialogach, które nie są scenicznymi dialogami. To „Lalka” rozgrywająca się nie w Warszawie, lecz gdziekolwiek, „Lalka” zredukowana do schematycznej trójki Wokulski — Izabella — Stanski. Zresztą pisano już o tym w kraju — i należy tylko dodać, że wszystkie owe grzechy inscenizacji „Lalki” występują w Moskwie w sposób szczególnie wypukły, zarówno ze względu na możliwość porównania z jakże odmiennymi inscenizacjami np. powieści tołstojowskich w MCHAT’ie, jak i ze względu na bardziej obiektywny — przy całej znajomości i popularności autentycznej „Lalki” — stosunek tutejszych widzów do dzieła, które nie jest dziełem ich literatury narodowej.

Chłodne przyjęcie „Lalki” w Moskwie było spowodowane nie tylko niefortunną dramatyzacją. Było kilka scen, odegranych z pasją (np. Rzecki i subjecki, odsłona u studentów), znaczną jednak część przedstawienia, w szczególności zaś fragmenty toczące się w salonie Łeckich, cechowała apatia, chłód, przeciąganie pauz do niemożliwości, jakaś niemrawość po prostu. Dobrzy byli Jan Ciecierski jako Rzecki, Jerzy Leszczyński jako Tomasz Łecki i niektórzy inni w rolach epizodycznych. Ogólnie podobały się dekoracje Otto Axera. Przedstawienie nie mogło to uratować.

Opuszczaliśmy teatr zaniepokojeni. To początek występów — a co będzie dalej?

„JULIUSZ I ETHEL”

Następnego dnia, w niedzielę 26 września Teatr Polski dawał dwa przedstawienia. Na poranne — „Juliusza i Ethel” nie poszliśmy, mieliśmy natomiast tuż po jego zakończeniu zabrać kilkoro warszawskich przyjaciół na zwiedzenie miasta i z tego tytułu o godzinie pół do trzeciej znaleźliśmy się koło teatru. Przedstawienie jeszcze się nie skończyło, zaczęliśmy więc na razie od znających i nieznanymi gapiów zbierać informacje z pola bitwy.

Jak było do przewidzenia, wczorajszymi spektakl zraził część publiczności do polskiego teatru, na skutek czego dzisiaj stosunkowo łatwo można było nabyć bilety przed wejściem. Amatorów na nie zresztą nie zabrakło — i teraz, twierdzą, triumfują oni nad niecierpliwymi, którzy przedwcześnie wydali sąd o polskim teatrze. Bo przedstawienie jest podobno bardzo dobre. Niezbyt ufając tym zdaniom, które w zupełnie niezbadany sposób przeniknęły z widowni na ulicę, z tym większą niecierpliwością czekaliśmy na koniec przedstawienia.

Wreszcie otwarto dwie pary maszynowych drzwi i na ulicę zaczęła się wylewać publiczność, dziwnie cicha i skupiona. Kobiety są wyraźnie zaplakane,

Zatrzymujemy Ninę Iwanową, moskiewską polonistkę świetnie znającą nasz język i literaturę. Nina jest oszolomiona. Zgubiła w tej chwili całą swą zdolność analizowania zjawisk sztuki: mówi superlatywami, które brzmiałyby naiwne, gdyby nie zawarta w nich siła wzruszenia.

Podслушуujemy strzępy rozmów — i we wszystkich powtarza się ten sam nadzwyczaj pochlebny sąd o „Juliuszu i Ethel”.

Teraz przeczeka się przez tłum rozgorączkowany Roman Szydlowski — śpieszy się zapewne do telefonu, aby dziś jeszcze o radosnym sukcesie wiedziała „Trybuna Ludu” — rzuca nam tylko dwa zdania: „Jeszcze lepiej grali, niż w Warszawie... Urządźono owację Kruczkowskiemu...”

A oto Tamara Motylowa, znany krytyk literacki. Zdanie jej o „Juliuszu i Ethel” odnotowuję tym chętniej, że niezupełnie pokrywa się ono z moim raczej dość krytycznym poglądem na tekst tej sztuki. Motylowa uważa inaczej. „To ogromna, prawdziwa tragedia — mówi — na miarę przekraczającą zwyczajne ramy współczesnej dramaturgii. To sztuka, którą trudno mi porównać z jakąkolwiek inną, to rzadkie przeżycie”. Zaslugę wywołania w widzu takiego wstrząsu moja rozmówczyni dzieli równo między autora i aktorów, z których szczególnie — tym razem zgodnie i z moim przeświadczeniem — wyróżnia Halinę Mikołajską. „Powiedzcie Mikołajskiej — prosi — że jest wielką aktorką”.

O, na pewno powiem, jeżeli się tylko do niej docisnę, bo oto stoi na ulicy, jeszcze na wpół przytomna, a już obłożona przez łowców autografów i bezinteresownych wielbicieli jej talentu. Wreszcie udaje się ją wyciągnąć, ale długo jeszcze słyhać oklaski nie rozchodzącej się publiczności i chóralskie skandowanie: „Mi-ko-laj-ska, Mi-ko-laj-ska...” Gdyby teraz, starodawnym zwyczajem, wsiadła do

(Dokończenie na str. 2)

ALEKSANDER HAWRYLUK

Przełożył LEON PASTERNAK

Trzy wiersze

PIEŚŃ

Ej, ty łbie mój, ty łbie nielegalny,
Wyrutowe zamiary wciąż masz.
Nielojalny ty, niecenzurálny,
Więc dlatego pilnuje cię straż.

Buntowniczej tyś pełny przekory,
Pełny myśli wzbronionych i spraw.
I bezprawnie rozgłaszać żeś skory,
Jak katują nas w imię swych praw.

Kto ci, łbie mój, pozwolił pamiętać,
Że w karcerze i bicie i post,
Że nas tłukli pałkami po piętach,
Terpentynę wpuszczali nam w nos.

Że kopali nas w żebra butami,
Wypaniali w białiznie na mróz.
I jak w dół nas wieszali głowami,
Że aż krew nam rzucała się z ust.

Jak to kuśł nas głos judaszowski,
Obiecując i taskę i trzos,
Byśmy poszli na żoła ich szpiclowski
Placąc hańbą za lepszy swój los.

Jeszcze dotąd wciąż krwią odpływamy,
Ropią rany od żelaz i krat.
Dumną pieśnią nam dźwięczą kajdany,
We wspomnieniach zwycięskich tych lat.

(Po więzieniach w Wilnie i Brześciu 1934—1935)

PLAKATY

Rwą się słowa; snują się, przędą, pieśni-plakaty.

Cisnę je poprzez kraty, pod strzechy chłopskiej chaty.

A tam je towarzyszy podchwyci — i pieśń się w górę poderwie!

I ponad wioski pofrunie!

Kto pieśni-plakaty zerwie?

I pieśń się przyjmie wśród ludzi, jakby złożyli ją sami,
jakby ją wyspiewali tęsknotą i marzeniami.
Nieważne — kto pieśń tę stworzył, ważniejsze co dało jej siłę:
Towarzysze — w mogile, a pieśń sztańdarem okryła mogile.

A śmierć u wezgłowia już stoi i rękę wyciąga suchą.
— Widzisz, że pieśń już kończę... Poczekaj-no chwilę, kostucho! —
Jak ciężko!... W oczach ciemnieje... Nadejdzie dzień zapłaty!

Wzleciały nad wsiami pieśni,
zawisły tam jak plakaty.

(Wilno, Więzienie, 1933 r.)

BEREZA

Nie inwalida stary ze strzelbą zardzewiałą,
lecz celne cekaemy czuwają tu na czatach,
i gęsty drut kolczasty dokoła nas otacza,
a ślepią policjantów żądlami tną nam ciało.

Tyś — duch Bastylii, tyranii krwawej upiór,
co z głębin wieków wyszedł, wyległ gdzieś w pomroce.
Bastylie tam się wznosi, gdzie ustrój się chyboce,
gdzie przemoc nienawistna już woń wydziela trupa.

Swych murów i zasieków, o nowa ty Bastyljo,
nie skryjesz i w pustkowie, wśród bagien i moczarów.
Dośrogię cię i tutaj wzbudzony, gniewny naród,
i będzie sławić dzień ów, gdy rozbił w proch i w pył ją!

Katownio! Z twoich lochów, co łamią słabych wiara,
(a niechaj-że ich łamią, niech zedrą fałsz z obliczy),
wstąpimy w nowe czasy i przyszłym budowniczym
za stal będziemy służyć dla prześł i dźwigarów.

(Obóz koncentracyjny 1937 r.)

Aleksander Hawryluk, rewolucyjny poeta ukraiński ur. w roku 1911 we wsi Zahłacie woj. lubelskiego. Był jednym z głównych współpracowników pisma ukraińskiego pisarzy lewicowych „Wikna”. Wielokrotnie więziony sanacji. Zginął w pierwszym dniu wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, w czasie nalotu samolotów hitlerowskich na Lwów.

Kłopoty z oświatą

(Dokończenie ze str. 1)

chła" i „Polski Piec”, i wspomnianie Przedsiębiorstwo Kolejowe. Ale cóż będziemy ich chwalić, przecież nie z powodu sukcesów piszemy niniejszy artykuł.

Wstąpmy lepiej od razu do Zjednoczenia Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych Budownictwa Miejskiego, Poznań, ul. Michała 4. Rady zakładowej nie ma: wyjechała na delegację.

— Mogę się widzieć z kierownikiem personalnym?

— A co?

— W sprawie szkoły dla pracujących, z Wydziału Oświaty.

— No to chodź przyjacielu.

Myślę sobie: rekrutacja dobrze pójdzie, bo mnie uważa za przyjaciela; jak to się dziś młodych ludzi szanuje!

Kierownik personalny zamyka stary rannik drzwi, po czym żąda legitymacji. Mówię: „W portfelu mi ją odebrano”. Posłał więc do portierni, czekamy i patrzymy na siebie. Potem ogląda legitymację, fotografię, mnie, znowu legitymację: całe szczęście, że moja grupa uposażeniowa nie jest tam wyszczególniona.

Dyskusję mimo wszystko zaczęliśmy. Nie ma mowy. Tu są specyficzne warunki, zresztą załoga na wysokim poziomie (wierzę mu, bo widzę). Tak — mówię — ale czy wszyscy mają siedem klas? Może zanalizować sytuację.

— Już została zanalizowana w maju. 85 jest bez szkoły podstawowej, ale żaden nie chce iść do szkoły. — Przerywam znowu: dobrze, jest spis i to obszerny jak na tak mały zakład, nauka rozpoczyna się we wrześniu, dziś mamy 5 sierpnia, przez miesiąc może kogoś uświadomimy, przekonamy, do szkoły jest stąd trzysta metrów, choć jednego, dwóch...

Personalny zgadza się. Przyjdź, przyjacielu, 16 sierpnia w poniedziałek. Przekonamy się.

Byłem 16 sierpnia. Personalny wykazuje tym razem wielką wstrzeźliwość i posyła mnie do dyrektora.

O SPOSOBACH ZALATWIANIA

Idę więc do dyrektora. Nie jestem wcale uprzedzony, choć mam wrażenie, że patrzy na mnie szef kompanii der Infanterie seiner preussisch - koeniglichen Majestät, któremu młodzieńszak ze szkoły oficerskiej przyszedł zrobić uwagi. Czuję drganie w tydkach, mówię: — Towarzyszu, ja tu na bazie szkolnej...

— Proszę Pana, myśmy tę akcję podjęli i przeprowadzili wcześniej, bo w maju 1954 r. Wyników pozytywnych nie zanotowaliśmy. Oto jestteczka dotycząca tej sprawy. Wszelkimi dalszymi informacjami służę.

— Czy nie dałoby się, powiedzmy, że się tak wyrażę, rozmawiać z tymi, prawdą, ludźmi teraz, w sierpniu, bo we wrześniu tego... rok szkolny...

— Proszę Pana, większość pracowników bez siedmiu klas chodziła jeszcze do pruskiej szkoły, tam nauka nie trwała siedem lat, ale poziom był znacznie wyższy, ci ludzie z czterema klasami pomagają w lekcjach swoim dzieciom w siódmej klasie.

Poniósłszy tak wielkie straty w ludziach i materiale wycofałem się przez portiernię na z góry uplanowane pozycje za plotem.

W trzy dni później był tam inspektor oświaty dorosłych, dr. M. Jedyna rzecz, która go po tej wizycie dziwiła, to fakt, że uchronił się szczęśliwie od jakichkolwiek obrażeń cielesnych.

Nie opodał owych zakładów sanitarno - elektrycznych znajduje się Państwowy Monopol Spirytusowy. Kierownictwo robi w sprawie rekrutacji, co może. Na zebraniu w Komitecie Dzielnicowym PZPR 5

sierpnia obiecano utworzyć klasę na terenie zakładu, zwerbowano 26, uświadamiano i zabiegano. W szkole nie znajduje się ani jeden robotnik z PMS. Kierowniczką szkoły była tam ze mną siedem razy. Sekretarz POP, tow. J., kierowniczką personalną, rada zakładowa chodzą, agituja i... proszą o pójście do szkoły. Mają tyle na głowie: akcja żniwna, rekrutacja do Milicji, Ormo, szkoły oficerskiej, średnich szkół dla pracujących, wyjazdy w teren, tańce, gitara, współpraca ze wsią, walka z pijaństwem wśród robotników itd., itd. A obok tego normalne zajęcia zawodowe.

W rezultacie cały wysiłek idzie w tym kierunku, aby pokazać właściwą postawę, biegać, agitować, mobilizować i uaktywniać. Tymczasem uświadomienie o potrzebie kształcenia to jest rzecz trudniejsza niż produkcja spirytusu. Trzeba się w tej sprawie uprzeć, uświadamiać aż do skutku. Kto ma to zrobić? Tow. J., która nie wie, na jakie zebranie ma iść najpierw?!

— A jaki macie element? — pytam.

— Prawie stale są podchmieleni, nie da się ustrzec — powiada referentka kulturalno - oświatowa. Do biura personalnego co drugi dzień przychodzi protokół z Milicji. Wiadomo: Monopol Spirytusowy.

Problem utworzenia klasy dla pracujących staje się tu czymś bardzo wielkim. Ciemno jest w hall fabrycznej, gdzie na taśmie suną butelki lakowane rękoma sprawnymi jak kończyny stonogi.

Monopol Spirytusowy jest pięknie położony. Przed rokiem wykonano tu wspaniałe dzieło Planu Sześcioletniego — Jezioro Maltańskie, na którym odbywać się mają ogólnopolskie regaty. Po drugiej stronie jest piękny las. Puszysta trawa błyszczy w promieniach wrześniowego słońca i spowija duży aromatem rozkoszy.

Oglądamy „element”. Mężczyźni łączą jasność wyrażania się i rezolucyjność myślenia z niepewnością w nogach. Dziewczęta są krzykliwe. Nie mogą iść do szkoły: mają dzieci. — No dobrze, nie chodzi o mężatki, chodzi o tych, co do szkoły chodzić mogą, o panny.

— „No jak ja mogę iść, jak ja jestem cztery miesiące...”

Koleżanka jest chyba więcej jeszcze, zresztą nie wiem, nie jestem lekarzem.

Gdyby nie to, że w szkole dla pracujących nie ma uczniów, to bym myślał, że uprawiam naturalizm.

Wniosek zaś zawiera się w pytaniu, co powinno być wstępem do pracy kulturalno - oświatowej wśród tego „elementu”. Bo ten brak siedmiu klas i ten lasek łączą się. To są ludzie wykołnieni, ludzie, których nie rośli i nie wychowywali się według zasad pedagogiki. Tyśiąc lat wyżysku, ciemnoty i propinacji koncentruje się nad Jezioro Maltańskim i rzuca cień na pustą ławę w szkole dla pracujących.

PATRZĄC Z GÓRY

Byłem z inspektorem L. w sprawie rekrutacji u sekretarza Okręgowej Rady ZZ. Tow. K. wie, jak jest i niczego dobrego się nie spodziewa. Trzeba wziąć za łby personalnych: „To jolopy, wiatrakami się podpisują, więc myślą, że każdemu cztery klasy starczy”. To było w zeszłym roku. Dzisiaj bym się powołał na dyrektora B.: cztery klasy, ale szkoły pruskiej. To nie to samo, co dziś!

W sferach górnych krzyczą się na personalnych, sekretarzy, dyrektorów. Dobrze, że się krzyczy, od tego jest „góra”. Ale boją się tych krzyków tylko tchórzyliwi. Inni powiadają, że i tak zawsze z góry

krzyczą. Akcji pośrednich i bezpośrednich jest tyle, że niektóre muszą być „zawalone”, dzień ma ograniczoną ilość godzin. Mój „przyjaciel” z zakładów sanitarno - elektrycznych należy do tych, co się nie boją. Ma dzięki temu spokój. W PMS boją się i dlatego naprzykaszmy się im siedem razy, nie licząc telefonów inspektora.

PATRZĄC Z DOLU

Na każdym kroku spotyka się pytanie, jakie korzyści przyniesie robotnikowi uczęszczanie do szkoły. Kiedy omawiałem sprawę rekrutacji w Komitecie Dzielnicowym PZPR, była to pierwsza uwaga, jaką skierował do mnie kierownik organizacyjny: „Taki gość powiada, że jak skończy szkołę i awansuje, to zarobi mniej”. Zarówno kierownik organizacyjny jak i ja wiemy, że jest to główna przyczyna załamania się akcji rekrutacyjnej. Wiemy to zresztą w sposób nader osobisty i bezpośredni.

Zwykła odpowiedź na to brzmi, że robotnik nie powinien po ukończeniu szkoły zamieniać się w urzędnika. Odpływanie do pracy umysłowej jest jednak zagadnieniem ubocznym. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który pracuje w pocie czoła, uczy się, niedosypia, ślęczy nad książkami i po trzech latach kończy szkołę dla pracujących. Gdzieś w wielkim społecznym rozrachunku przyniesie to podniesienie wydajności i poziomu kulturalnego. W tym jednak osobistym zakresie, w tym zakresie, do którego należała męka nauki i pracy — człowiek ten nie zyska nic. Przecież dzięki siedmiu klasom nie od razu będzie racjonalizatorem! Przez lata nauki ile przeszedł udręki, ile razy podawał mu nogę ciemny majster, służbyści kierownik, rozpisywany przez LPZ ze swymi zebraniami. Ukończył szkołę i nie dostał grosza więcej.

I robotnicy to wiedzą i powtarzają stale i agitatorowi oświatowemu naprawdę nie chce się już mówić, że to jest stan przejściowy.

ŚRODKI ZARADCZE

U podstaw zła tkwi niewłaściwa polityka kadrowa. Przyjmuje się stale jeszcze do pracy wyrostków w wieku lat 14—16, którzy nie ukończyli szkoły podstawowej, bo się na nich nauczyciel „zawzięł”. Kierownicy personalni powinni zobowiązywać nowoprzyjmowanych do uzupełnienia braków.

Wreszcie przymus. Rady Zakładowe powinny mieć prawo zmuszania pewnych pracowników, po dokładnej analizie ich sytuacji, do uczęszczania do szkoły. Wszystkie inne środki stosowano już w ciągu ostatnich 10 lat i okazały się nieskuteczne lub pożałowania godne.

ŚRODKI POŻAŁOWANIA GODNE

Akcja rekrutacyjna rad zakładowych i nauczycieli, naciskanych z góry, przypomina obecnie upokarzającą kolendę lub ohydny żebrał. Walka toczy się o „limity”, wykazy i okólniki, nie o oświatę. Ustępstwa, na jakie idzie szkoła wobec swoich uczniów, poziom wyników nauczania, a nade wszystko frekwencja w szkołach dla pracujących — stanowią taki skandal i takie nadużycie... — no, nie chcę wywoływać wizytacji jako wilka z lasu.

Ale nadużyć tych nie popełniają wyłącznie szkoły i rady zakładowe. Cała sprawa jest w ogóle źle postawiona. Postawiona jest jako sprawa uboczna, dziesiąta po orkiestrze fabrycznej, uboczna co do organizacji, co do środków realizacji, co do materialnego premiowania.

Jerzy Krasuski

WE WSI LENINO

Pamięci poległych żołnierzy dywizji im. Kościuszki

Dzień za dniem idzie, rok za rokiem nowy, któraś to ruń strzeleckie kryje rowy, ileż tam razy opadł liść jesieni, gdzie na szerokich polach białoruskich żołnierze sławnej dywizji Kościuszki snem ostatecznym leżą powaleni.

Tu ich mogiły przyjacielskie ręce zawsze troskliwie przysstrajają w wieńce, całe są w żywych i słonecznych kwiatach i takich samych jakie barwne kwitną tam u nich w domu nad Wisłą błękitną na ścieżkach polnych i chłopskich rabatach.

Myśmy ich znali, myśmy ich kochali, i chleb frontowy z nimiśmy łamali w pamiętne czasy wojennej zamięci. Jakież wyprawy wspanialsze być mogą niż wierny marsz ich ku Polski rozłogom. Z wiarą szli naprzód, zwycięstwom naprzeciw.

Nam śmierć ich nawet nie potrafi zabrać, to sił wolności najprzedniejsza kadra, jak byli z nami — będą, choć polegli. Chociaż ich oczy młodo zgasty w burzy każdy z nich przecież wielką przyszłość ujrzy na swej rodzinnej ziemi niepodległej.

Ich udział wieczny w każdej polskiej sprawie, w każdej cegiełce kładzonej w Warszawie, w kwitnieniu pól, w budowie każdej wioski, ich głos rozbrzmiewa dalej w pieśniach nowych, w szumie traktorów, w syrenach Dąbrowy, w dumnych raportach budowniczych Polski.

Nie płaczcie matki, że losy tak srogo przecięły synom nagle życia drogę. Cóż może bardziej szczytnym być na świecie jak imię wielkie w swoim heroizmie, jak sprzymierzeńcom wierność i ojczyznę. Ich sławę wiekoma przekaza stulecie.

Z białoruskiego przełożył
Stanisław Jerzy Lec

Pierwsze dni

(Dokończenie ze str. 1)

powozu, wypręgliby konie i sami pociągali, na pewno!

Po wczorajszym — jakaż ulga!

„MAŻ I ŻONA”

Wieczorem na całej odległości od stacji metra „Plac Świerdłowa” do teatru snują się znowu czujniki, cierpliwie zaczepiające każdego przechodnia: „Niet liszniewo? Liszniewo niet?” To znane hasło teatromanów moskiewskich znaczy: czy nie odstąpić zbędnego biletu?

Ale zbędnych biletów znowu nie ma.

O „Mężu i żonie” krótko: znowu sukces, wielki sukces! Pełna werwy i humor komedycja Fredry, doskonała wyreżyserowana przez Bogdana Korzeniowskiego, świetnie odegrana przez Romanówkę, Kreczmara, Kreczmara, Wollejkę, ze znakomitymi dekoracjami Zenobiusza Strzeleckiego, całe to cacko, którym dotąd zachwycała się Warszawa i Paryż, teraz z miejsca chwyciło moskiewską widownię. Aż dziw brał, jak publiczność, bądź co bądź nie polska, chociaż w polskiej swej części rozumiejąca po polsku, potrafiła tak bezbłędnie reagować na każdy dowcip, nie tylko sytuacyjny, ale i słowny, na każdą subtelność bogatej w odcienie gry aktorskiej. Smiano się często i mądre; kilkakrotnie zrywały się oklaski przy otwartej kurtynie. Jednym słowem: bardzo dobre przedstawienie, bardzo dobrze odebrane przez salę, pełny sukces, już drugi tego samego dnia, tej wielkiej niedzieli Teatru Polskiego w Moskwie.

„WUJASZEK WANIA”

Tego przedstawienia — co tu ukrywać — baliśmy się. To nie baletka — przyjechał z „Wujaszkiem Wanią” do Moskwy, która zna sztukę Czechowa na pamięć, od lat ogląda ją na scenie MCHAT'u, z Tarasową w roli Heleny Andrejowny, Janszinem jako Telegin i Orłowem w roli tytułowej. Nie ulega wątpliwości, że widownia będzie każdego gest aktora polskiego konfrontowała z tradycją MCHAT'u ze wszystkimi niepowtarzalnymi osiągnięciami, które MCHAT zdołał wypracować, a może także z tym, co w MCHAT'cie jest niekoniecznie bezsporne, ale do czego publiczność jest mimo to przyzwyczajona i przywiązana. Tak więc — zadanie niełatwe i przed podniesieniem kurtyny byliśmy oboje z żoną chyba niemniej stremowani od aktorów oraz St. W. Balickiego, bledłego i spoczonego w swojej łóż. Tremę pogłębiał widok surowych jegomości, którzy rozłożyli sobie na kolanach teksty sztuki i z otworem w ręku czekali na polskiego „Wujaszka Wanię”.

Ale oto kurtyna się rozsuwa — i brodaty Jan Swiderski — Astrow rozpoczyna swoją partię z nianią — Janiną Mundingrową. Pierwszy punkt dla nas zdobywają dekoracje Jadwigi Przeradzkiej. No, ale to jest prawie zawsze nasze mocne miejsce, a co z aktorami? Wydaje się, że aktorzy czują się dość swobodnie, w każdym razie nie ma takiego skrupowania, jak w „Lalce”. Duże wrażenie wywarł zjawienie się Elżbiety Barszczewskiej (Heleny Andrejowny), która natychmiast podbiła serca widzów unodą, a później i grą, chociaż jest to gra bardzo odległa od tutejszych tradycji. Zresztą, jak sobie dość szybko uświadamiamy, wszyscy niemal uczestnicy naszego „Wuja Wani” są bardzo mało Rosjanami Czechowa i w ogóle Rosjanami. A już Barszczewska chyba najmniej. Nie wiem, czy jest na to jaka rada — gra Barszczewskiej, podkreślam, znajduje mimo to uznanie widowni, bo jest głęboko uczuciowa, szczerza, jest w niej ta „wieczna kobiecość”, która winna chyba stanowić (a nie zawsze, niestety, stanowi) niezbędny składnik podobnych ról. Wróćmy jednak jeszcze do pierwszego aktu — bo to, co napisałem o Barszczewskiej, dotyczy całego przedstawienia. A więc pierwszy akt rozwija się bez zgrzytów, dyskretnie, lecz z taką dyskrecją, która nie przechodzi w oschłość. Właściwie trudno chyba któremukolwiek z aktorów postawić jakiś istotniejszy zarzut, tylko rekwizytorowi zdarzyło się małe zaniedbanie: w pewnej chwili zamiast herbaty połała się do szklanek czysta, biała woda. Ale publiczność nie zwraca, a może nie chce zwracać na to uwagi, naprawdę zaabsorbowana rozgrywanym się na scenie dramatem. Z tytułowi szepitem zachwycę się Ryszardą Hanin (Sonią), ale sąsiad poprawia: „Obie są dobre, obie...” Nasze napięcie opada — zdaje się, że dzisiejsze przedstawienie nie robi nam wstydu. Konstanty Pagowski (Telegin) efektywnie, w dobrym tempie kończy pierwszy akt — burza oklasków, kurtyna kilkakrotnie się rozsuwa...

Pędzimy za kulisami, do Ryszardy Hanin. Labirynt korytarzy, schodów, przejść, dziwne piecary pod sceną, cały romantyzm kulis. Rysia siedzi w garderobie zmęczona, zdenerwowana, przesadnie przejęta epizodem z białą herbatą, nie zdając sobie zupełnie sprawy, czy wieczór zmierza w stronę sukcesu, czy wprost przeciwnie. Janinka próbuje podnieść ją na duchu, a później ją w właściwą sobie niezręcznością i brakiem obicia żywcem Rysia powodzenia. Przywołany do porządku, usiłując to odrobić mniej wykwinnymi życzeniami, ale już za późno, Kompletnie zgnębiony

świadomością, że zapeszyłem Ryszardę i całe przedstawienie, wracam na widownię.

A w następnych aktach toczy się wszystko coraz lepiej. W drugim akcie plastycznie i mocno zarysowuje się gruntownie wystudiowana przez Antoniego Różyckiego sylwetka profesora. W trzecim — uzyskuje niezbitą rację artystyczną dotychczasowe jakby ściszenie roli tytułowej przez Mieczysława Mileckiego. Właśnie to stopniowanie partii Wuja Wani od początkowego zniechęcenia, flegmatyczności do namiętnego wybuchu w kulminacyjnym trzecim akcie głęboko odzwierciedla narastającą w psychice bohatera tragedię. Dobry są i wszyscy inni dotąd wymienieni uczestnicy przedstawienia, do których chciałbym dołączyć w tym miejscu Zdzisławę Zyczkowską w roli Marii Wasiliewny. Bohaterka wieczoru jest zaś dzisiaj, jak niemal jednogłośnie stwierdzają widzowie (moje zdolności podłuchowe wyrobiły się niesłychanie podczas występów Teatru Polskiego w Moskwie) i jak sam mogę z całym przekonaniem potwierdzić, jedna z naszych najbardziej myślicznych i jednocześnie bogatych emocjonalnie aktorek, Ryszarda Hanin. Zaznaczam to tym chętniej, że, jak się okazało, niepotrzebnie byłem przez pięć minut przesądny...

Przedstawienie skończone. Oklaski, owacje, kurtyna rozsuwa się ośmiem razy, tłum widzów napiera na scenę... Stanisław Witold Balicki uśmiecha się szeroko w swojej łóży, a obok mnie ze zdziwieniem patrzy na szalejącą widownię Leon Przemski, który przyleciał z Warszawy w przerwie przed czwartym aktem i z miejsca zamówił u mnie te właśnie notatki.

Piszę je pośpiesznie, w nocy, połączając przede wszystkim na subiektywnych, może mylnych, wrażeniach i spostrzeżeniach, zakładając proporcje, najwięcej miejsca poświęcając przedstawieniu, z którego dopiero wróciłem, z krzywdą dla wcześniejszych... Usilnie proszę zatem czytelników, żeby pamiętali, że to nie recenzja i nie oficjalne sprawozdanie z pobytu Teatru Polskiego w Moskwie, lecz wyłącznie niefachowe impresje jednego z widzów. Zanim przyjdzie czas na wszystko inne, do czego na pewno zaborą się bardziej powołani, przyjmuję, proszę, bez wielkiego gniewu, to, na co mnie stać w tej chwili...

Oto i rano, wieczorem spotkały się na „Cydzie”.

Moskwa, wrzesień 1954 r.

Wiktor Woroszyński

Z WYSTAWY GRAFIKI RADZIECKIEJ W WARSZAWIE



Fot. D. K. Piotrowski

Kukryniksy. Ilustracja do „Damy z pleskiem” Czechowa (czarna akwarela).

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

IRENA KRZYWICKA:



Bardzo jest niedogodnie tak późno odpowiadać na ankietę (wyłącznie zresztą z mojej własnej winy), bo już koledzy napisali właściwie wszystko, co było mądre, potrzebne i słuszne. Wpadłoby więc powtarzać po nich, a także z pisarzy lubi powtarzać po innych. Przy tym muszę wyznać, że nie bardzo lubię odpowiadać na ankiety, ogarnia mnie jakieś zahamowanie wewnętrzne, na domiar złego nie „pobierałam się” jeszcze całkowicie po ciężkim nieszczęściu, jakie od roku oderwało mnie od pisania i przykuło myśli do zagadnień związanych z medycyną, a nie literaturą.

Ale nawet w dziejach tego mego roku zawiera się część odpowiedzi

na ankietę. Nie będę tu mówiła o uniesieniu i zachwycie, jaki ogarnia na widok życia naszego Kraju i perspektyw coraz to szczęśliwszego bytu, jakie się przed nim otwierają, bo tak łatwo popaść przy tym w ogólniki. Ale oto konkretny przykład, w związku z cłosem, który mnie ogłuszył. Jak! dawniej byłby los samotnej kobiety, żyjącej jedynie z pracy swego mózgu, której dziecko ciężko zachorowało? Skąd wziąć pieniędzy na leczenie, jak je ratować, gdzie szukać pomocy? Dawniej taka choroba byłaby bezlistnym wyrokiem, niszczącym życie dwojga ludzi. Dziś pomocą, ratunkiem, podporą jest pojęcie tak ongi anonimowe, jak Państwo. Państwo Ludowe robi na równi ze mną — matką, wszystko co możliwe, aby pokonać nieszczęście. I czarny cień się cofa.

Tak jest na każdym kroku. Tu widzę dziewczynkę, która taplałaby się w rynsztoku, a potem zmarniałaby na rogu, a teraz wychowuje się i uczy w Domu Dziecka; tu znów chłopca, który byłby ciemnym parobkiem u obszarnika, a teraz jest młodym naukowcem z piękną przyszłością; tam samotną, ale rześką staruszkę, która by dawniej poszła chyba po proszonym, a teraz jest użyteczna, pracuje, nie czuje brzemienia lat. I tak całą naszą rzeczywistość można by rozsnąć na nitki — poszczególne istnienia i pokazać, jak ta każda niteczka nabrała mocy, barwy, sprężystości, podczas gdy dawniej rwałaby się beznadziejnie w rękę. Człowiek nie

jest dziś sam, bezradny i zagubiony w świecie, patrzący z przerażeniem w czarna otchłań przyszłości. Wie, czego może się spodziewać, na co liczyć, gdzie szukać pomocy, pracy, lekarza, nauki, a w potrzebie — gdzie na kogo się poskarżyć. I chyba w tym poczuciu ufności należy szukać wytłumaczenia niezliczonej ilości dzieci, i kobiet o mile zao krąglonych brzuskach, jakie się wszędzie widzi.

Ten brak poczucia osamotnienia i bezradności oraz bezustanne posuwanie się (choć czasem trudnymi i zawilgotnionymi ścieżkami) ku lepszemu i coraz to lepszemu, wywołało u wielu pisarzy (a między innymi i u mnie) zasadniczą zmianę stosunku do życia, zmianę postawy wobec życia. Dawniej najdumniejszą i najbardziej godną intelektualisty postawą wewnętrzną wydawał mi się sceptycyzm, drwiący, żartobliwy sceptycyzm ze sporadycznymi zrywami do walki na małych odcinkach. Dziś wrzask, jaki przy okazji każdego takiego zrywu podnosiła reakcja, dawał pisarzowi mego typu wrażenie, że naprawdę bije się o coś, bo zamieszał trochę błotko naszego kultuństwa. W każdym razie trochę zaszczyło z tych wynysłów (a trudno sobie wyobrazić, ile tego było) na człowieka spływało, choć dziś, po niewczasie, wraz z lepszym zrozumieniem spraw tego świata, widzi się, że lepiej i celniej, i ostrzej można było pióra używać. A pogarda dla wstecznej gawiedzi pobudzała do fałszywych uogólnień, do niewiary w ludzi, do niewiary w możliwości skutecznego, radykalnego przemienienia świata. Nie trzeba dodawać, że lata okupacji

te niewiary wyolbrzymiły do granic ostatecznej rozpacz. Nie byłam na tyle ślepa, aby nie widzieć wielkich wartości poszczególnego człowieka, ale ludzie jako zbiorowość wydawali mi się aż nazbyt często przerażający. A z takimi myślami idzie w parze poczucie samotności, bezradności, zupełnego zniechęcenia.

Najpoważniejszą intelektualną zdobyczą dziesięciolecia wydaje mi się, dość powszechne wśród naszej inteligencji (dotyczy to także i mnie), nowe rozumienie świata i wiara w przyszłość człowieka. Nie stało się to łatwo i nie przyszło od razu. Na temat tego trudnego procesu wiele się już pisało i wiele jest jeszcze do napisania, ale jedno mi się wydaje pewne: to cośmy przez ostatnie lata zdobyli wewnętrznym wysiłkiem, lekturą, rozmyślaniami i obserwacją jest już nieodwracalne. Nie wyobrażam sobie dziś sytuacji, która by ten światopogląd oparty na nauce marksistowsko-leninowskiej mogła zburzyć, tak jak absolutnie nie wyobrażam sobie obecnie możliwości życia dla siebie czy syna w świecie, w którym rządzą pieniądze, przemoc i brutalna walka o byt. Powrót w jakiegokolwiek formie do przeszłości wydaje mi się straszny, a dwa lata przebywania, już po Wyzwoleniu, w ukochanym skądinąd Paryżu, bynajmniej mnie do życia w ustroju, który na szczęście jest dla nas przeszłością, nie zachęcały. Przeciwnie. Dla człowieka, który tak jak ja bezustannie i bardzo blisko obcuje z zetempowską młodzieżą, o tyle szczęśliwszą niż młodzież mego pokolenia, ta przeszłość jest specjalnie upiorna.

Ale, żeby się z nią ostatecznie rozstać, muszę z nią zrobić ostateczny obrachunek. Ten obrachunek zaczęłam już w czasie okupacji (mówię to z pewną dumą), bo pierwszy tom „Rodziny Martenów” został napisany w 1943 roku. Zasadnicza koncepcja tego cyklu od owego czasu nie uległa zmianie, od początku bowiem miałam zamiar przedstawić dzieje czworga rodzeństwa na tle rozwoju ruchu robotniczego, przy czym jedni mieli w nim a inni z nim walczyć. Dzieje młodych Martenów i rodziny Radoniów nie uległy zmianie ani w tych tomach, które już są napisane, ani w tych, które dopiero napisane zostaną. To, co się w tym cyklu powieściowym dzieje, nie jest bowiem wynikiem jedynie lektury i zimnego namysłu, ale żywą prawdą o ludziach i zdarzeniach, które znałam, z którymi stykałam się od dzieciństwa. Rodzice moi byli zesłańcami politycznymi, jestem synową Ludwika Krzywickiego, środowisko radykalnej inteligencji różnych odcieni było zawsze moim środowiskiem, zetknęłam się też blisko — niestety tylko za młodu — z ruchem robotniczym. Ale, mimo iż zasadnicza koncepcja cyklu była słuszna, dzięki czemu zapewne ukazuje się on obecnie w trzecim wydaniu, wyobrażam sobie, ilebym głupstw napisała, gdyby nie ta nowa wiedza o świecie, o której wspominałam uprzednio, gdyby nie liczne lektury, które powymiały wiele śmiecia z mojej głowy, gdyby nie mądra, życiowa pomoc Partii, w osobie prof. Bronisława Krauze go, któremu przy tej okazji chcę złożyć gorące podziękowanie. Zastanawiam się w czasie okupacji do

pisania „Martenów” zdawałam sobie sprawę, że jedynie słuszną drogą, jaką poprowadzę kilka swoich postaci, jest droga socjalizmu, ale nie zdawałam sobie na przykład wówczas sprawy, że słowo socjalizm różnie brzmi w różnych ustach i że rozmaite rzeczy może znaczyć, od całkowitej świadomości i najwyższego bohaterstwa, do zupełnego mełniactwa i nawet zdrady. I wielu, wielu innych rzeczy nie rozumiałam wówczas, które rozumiem dziś, co zapewne odbiło się na książce, skoro słyszę, że następny tom jest lepszy od poprzedniego. Niczego zresztą więcej nie pragnę. Pojmuję też, że umiem i rozumiem wciąż za mało i tę potrzebę dalszego kształcenia się, dalszego wewnętrznego budowania się, mimo bynajmniej nie młodych lat, tę potrzebę — co dużo gadać — młodoci, zawdzięczam właśnie najbardziej twórczemu z dziesięcioleci, jakiego nasz Kraj przeżył.

Przy poczuciu całkowitej trafności kierunku, przy nieodpartej, mimo wielu omyłek, zwłaszcza w życiu kulturalnym, słuszności rezultatów, kiedy się widzi, jak dokola bujnie, młodzieńczo rośnie lepsze, sprawiedliwsze życie, kiedy pomoc człowiekowi, opieka nad człowiekiem przestaje być fikcją, kiedy przyszłość świeci jaśniej, niż teraźniejszość, nie ma miejsca na gorzki sceptycyzm, a tym bardziej na rozpacz. Choćby nawet prywatne nieszczęście dosięgło człowieka. Z nieszczęścia można się wyłubadać. Można i warto, bo żyć jest warto.

Tej pewności dawniej nie miałam.

Irena Krzywicka

JADWIGA SIEKIEJSKA

Rozmowy o Czechowie

Gdy zwiedzałam białą willę czechowską (obecnie dom - muzeum) położoną na malowniczym wzgórzu w Autce pod Jaltą, gdy oglądałam jasny skromny gabinet Czechowa, patrzyłam na jego kalamarz, pióro, słuchawkę lektorską, gdy Maria Pawłowna, siostra pisarza pokazała nam piękną rozrośniętą tuję, którą Czechow sam posadził pod oknem gabinetu, gdy opowiadała nam jak jej brat z zamięłaniem sadził drzewa tutaj i w Mielichowie — żywo przypomniały mi się sceny z „Wujaszki Wani” gdy doktor Astrow z zapalem mówi o radości sadzenia lasów, o pięknie przyrody i pięknej przyszłości Rosji.

DWA POKOLENIA

Nie zapomnę ciekawej rozmowy o Czechowie z jednym z pisarzy radzieckich starszego pokolenia. Opowiadał mi o swoich przeżyciach, gdy „odkrył” dla siebie Czechowa, gdy porwał go mistrzostwo jego krótkich opowiadań.



D. Dubiński. Z cyklu ilustracji do opowiadania Czechowa „Dom z facjatka” (tuszy).

Czechowa w wykonaniu MCHAT’u działały na mnie jak mocne, stare wino. Nie zatrzymywały mojej uwagi poszczególne monologi czy też sceny, ale działał nastrój całości, morze czechowskiego podtekstu. Chciałoby się skoczyć na scenę i otrzeć łzy Soni z „Wujaszki Wani”, ucałować ręce siostrzom z „Trzech siostr”, kleknąć przed Niną Zareczną z „Czajki”... Stale czuję urok „Duszek” Czechowa. Jeżeli Marks nazwał Balzaka doktorem nauk społecznych, to Czechowa można nazwać magiem duszy ludzkiej. „Duska” jest dla mnie wzorem wysokiej klasy warsztatu pisarskiego przez pełen finezji i prawdy obraz psychiki kobiecej, czaru kobiecej uległości. Tak myślałam o „Dusce”. Mój dawny stosunek do „Duszek” zburzyła moja córka Lida. W mojej rodzinie istnieje tradycja kult Czechowa. Niedawno Lida powiedziała mi: — Wiesz, ołśniona jestem „Duszką” — coś to za przejmujący obraz niewoli duchowej, bezosobowości kobiecy zakochanej, całkowitego zaprzeczania swego „ja” w mężczyźnie. „Duska” dla mnie — to głęboka satyra społeczna na poniżenie kobiety w ustroju klasowym. — Przyznam się, byłem zaskoczony sądem mojej córki. Nie od razu trafił on do mnie. Było to nowe, radzieckie spojrzenie na Czechowa (bo jestem przecież człowiek, jak mówią, „starej daty”), odkrywało dla mnie nową „Duszkę”.

Z synem Borysem posprzeczałam się znów o „Narzeczoną”. Podziwiałem w tym opowiadaniu ostre i subtelne obnażenie przez Czechowa mieszczańskiej trywialności (coż za kapitalna postać filistra — ten niedoszły mąż Nadzi — Andrej Andreicz), śmiałem się przez łzy czytać umoralniające zarządzanie i reformatorski patos niefortunnego architekta — gruzlika Saszy. Jakież to rosyjski typ szlachetnego inteligenta niedołągi — ten biedny Sasza, jak doskonale uchwycił go Czechow — myślałem sobie. Nagle mój syn Borys oświadczył mi: — „Gdyby nie kilka pokoleń rosyjskich inteli-

gentów podobnych do Saszy, którzy budzili w ludziach niepokój, nawoływali do czynu, byli czarującymi rosyjskimi donkiszotami — nie nielibymy rewolucyjnej inteligencji w szeregach partii bolszewickiej. A przecież Nadzia, zrywająca z narzeczonym, z cichym „rodzinnym szczęściem” pasożytniczej mieszczańskiej wegetacji by „przewrócić życie na nice”, czyż ta Nadzia nie jest piękniejsza od zachwalanych przez wasze pokolenie turgieniewowskich kobiet zdolnych tylko kochać, cierpieć i z godnością i czarem kobiecym ujawniać swą pogardę dla trywialności życia? Przecież czechowska Nadzia, to piękny i prawdziwy prototyp literacki rosyjskich rewolucjonistów. — Widząc mój zdziwiony wzrok i protestujący gest ręką, Borys, złośliwie dodał: „Przecież znam twoje słabości, ojciec. Jeszcze dziś napotkałaś jedną buzią burzy twój spokój, a działaczek partyjnych nie uważasz za kobiety”. Długo i burzliwie spierał się z synem o „Narzeczoną”. Niestety, muszę po cichu przyznać się do klęski — moje dzieci zwyciężyły, „odkryły” mi nowego Czechowa. Innymi oczyma zacząłem patrzeć na bohaterki ulubionych opowiadań tego pisarza.

Powiedział mi kiedyś Gorki, że miarą postępu społecznego jest stosunek do kobiety. Nie bardzo wtedy te słowa przemawiały do mnie. Co prawda, zawsze mnie głęboko wzruszały opowiadania Gorkiego „Narodziny Człowieka” i „Dwudziestu sześciu i jedna” (to drugie zwłaszcza) jako artystycznie piękny wyraz holdu dla macierzyństwa, dla piękna duszy kobiecej, uroku kobiecości, które nas, mężczyzn, uszlachetniają, budzą w nas tęsknotę za ideałem piękna. Gorki stworzył szczególnie sugestywny obraz uszlachetniającej roli kobiety. Dlatego według mnie „Dwudziestu sześciu i jedna” to arcydzieło literatury światowej w dziedzinie tzw. „małych form”.

Moje dzieci, w ogóle młodzież radziecka, odkryła mi oczy na „nowe-

(Dokończenie na str. 4)

ARTUR MIĘDZYRZECKI

NOWE WIERSZE

Gitara

Gitara pięć ma strun
Jest dłonią pięciopalcą.
Na każdej strunie lśni złoty punkt
I wstążki nad struną tańczą.

A wstążki barw mają śladem,
Tańczą jak lekkie konie,
Ich imiona to selen, seledyn
I szmaragd, zielony płomień.

Jadą przez wielki ład,
Przez step jak księżyc płaski,
Aż wjadą w pędzie na strychu ką,
W rupiecie i fatalaszki.

Króciutkie jest życie gitar,
Wstążka szybko się prześni,
Lecz stukają niegłośnie kopyta
Na drogach szerokiej pieśni.

Ballada

o księdzu-robotniku

Strzećcie się ludzie z Gennevilliers,
Módl się za męża, grzeszna żono,
O Gennevilliers, o Gennevilliers,
Oby cię ogień nie pochłoniął.

Bo i nadziei ziemskiej nie ma
I nie ma niewyroczonej dróg;
Błogosławiony czas cierpienia
I siedmiobarwny tęczy łuk;

A jam jest światło twojej duszy
I w wiecznotrwałej świecie mgie.
Przybywam, by rebelię zdusić
W czarnych zaułkach Gennevilliers.

Z pilnikiem w twardniejącej dłoni,
W kombinie zaplamionym —
Kto jesteś? — Jestem ksiądz nieznan,
Powtarzam tekst mój wyuczony.

A w Gennevilliers, zmrużywszy oczy
Gwizdząc piosenki zwinne zwrotki,
Chłopiec nieduży żwawo kroczył
I za pazuchą niósł ulotki.

Wszedł na dziedziniec, klasnął w dłonie,
Na strony spojrzął i przystanął.
Zdziwił się ksiądz w kombinie —
Kto jesteś, chłopcze? — Jestem anioł.

Do ludzkich razem poszli domostw,
Gdzie pelargonia w oknie wiedeń,
Znaleźli miłość nieulomną
I palające gwiazdy przedmieść.

I odkrywali w owym roku
Przemoc, na którą patrzeć ciężko,
I sens bojowań, mądrość kroków,
Świętość codzienną i zwycięską.

Zandarmi bili ich w więzieniu
Szczując z nadziei, chmur i tęczy,
Aż wyrwał im się w utrapieniu
Krzyk niecierpliwy i człowieczy.

Wtedy zabrano kombinę
Księdzu, co swej nie spełnił misji,
A on się nisko skłonił więźniom
I ludziom, co go żegnać przyszli.

Czy w Hirozynie są ogródki
Z narcyzem i nasturcją złotą?
O, geografio depesz krótkich,
Uczyłaś nas nie pytać o to.

Konie pod jeźdźcem padły w stepie,
Lunami bitew błysły rzeki,
A myśmy jak szczenięta ślepe
Uczyli się tych nazw dalekich:

Miranda i Guadarrama,
Ebro i Quinto i Teruel,
O srebrna nazwo pamiętana,
Hiszpanio, którą pieśń wędruje.

A Gwatemala? W Gwatemali,
W świąt pachnące migdałami,
Ludzie zbierali się, wołali,
Zatrzaszkali drzwi i bramy.

I jęły zgłoski wielostronne
Puerto Barrios, Chiquimila,
W świata ogromnej nuszli szumnej,
Gdzie ranek z mrokiem się przesila.

Teruel i Guadarrama,
Gualan, Zacapa i San José,
O srebrna nazwo pamiętana,
Gwiazdo nad chyboliwymi morzem,

Gwiazdo od dymu zakopconą
W gałęziach czarnych drzew bezlistnych,
Tak dobrze znana w moich stronach,
Na poranionych brzegach Wisły.

I znowu, znowu nieznanym
Ziemie świeciłaś nocą złą;
I lampa jasna na balkonie
Runęła w dół — i przysło szkło.

Południe

Poetom — równieśnikom

Tak wiele chciałbym poznać
Spraw, okolic i książek.
A jeśli nie będzie można,
Jeśli nie zdążyć?

Tyle, tyle zmarnowałem godzin
Na rzeczy niezbyt trudne,
A czas odchodzi, odchodzi,
Zegar wybija południe.

Miasta mijają, pokoje białe
Płyną jak statki wiślane.
Nad stołem niejednym siedziałem, pisałem,
Darłem kartki nad ranem.

W miejscu niejednym chwytali za gardło
Zachwyty ostrzy, oddech głęboki,
A później wszystko gasło i marło
W trzech robotkach niecierpiących zwłoki.

I chodziłem zabiegany, roztargniony,
Pelen żalu na własną miłość,
Z parą drewnianych dłoni,
Z goryczą wcale niepiękną.

I tak się ten pośpiech narodził,
Zawirował z liśmiem w ogrodzie;
Nie jesteśmy już tacy młodzi,
Tadeuszu, Wiktorze, Witoldzie.

Tak wiele chciałbym na nowo
Poznać rzeczy tej ziemi;
Zasnąć z nią w zamieć zimową,
Zbudzić się w jej zieleni.

Rozmowy o Czechowie

(Dokończenie ze str. 3)

go" Czechowa, nauczyła mnie nie tylko „cenić” kunszt warsztatu pisarskiego Czechowa, nie tylko podziwiać wdzięk kobiecości jego bohaterów, lecz pełniej rozumieć humanizm jego dzieł, dostrzegać głębię społeczną jego utworów”.

*

Wracałam w Moskwie po przedstawieniu „Wujaszka Wani” w MCHAT’ie. Przede mną szła młoda para gorąco spierająca się o doktora Astrowa. Głos mężczyzny był spokojny i rozważny. Mówił do swej towarzyszk: „Czechow to „bezwysciowiec” i pesymista — najlepszy dowód tego — postać doktora Astrowa, który zalewa robak wodką, snuje bezpłodne marzenia i jest niezdolny do czynu”. Gdy mówił ten młodzieniec, miałam wrażenie jakbym słyszała na raz dziesięciu rappowców z ich sztywnymi schematami postępowości i reakcyjności pisarza, z ustalonymi kanonami sztuki proletariackiej, nie dopuszczających jak wiadomo do areopagu czystej proletariackiej poezji i literatury ani Majakowskiego, ani Gorkiego, z gorliwością pedantów szufladkujących przedstawicieli klasycznej literatury światowej i rosyjskiej do „niezachwianych” rubryk pisarzy: „obszarniczych”, „burżuazyjnych”, „drobnomieszczańskich” itd.

Słyszałam, jak dziewczyna odpowiadała swemu rozmówcy głosem wzburzonym: „Nie pojmuję cię, Wasia. Przecież ty nie rozumiesz sztuki, nie czujesz Czechowa. Astrow to marzyciel — zgoda, może nawet masz rację, że bezpłodny. Ale czyż jego protest przeciwko ówczesnemu życiu nie miał znaczenia, czyż nie budził ludzi uśpionych, czyż nie zmuszał do myślenia naszych inteligentów? Czyż nie wzruszało cię to, co mówił Astrow o rosyjskiej przyrodzie, gdy mówił o pięknie człowieka, czyż nie czuł jego utalentowanej, nieprzejętej natury w doskonałym wykonaniu Jerszowa? Ech Wasia, Wasia szkoda dla ciebie MCHAT’u, nie znasz się na Czechowie, ty zakuty łbie”. Rozmowa się urwała. Dyskutująca para biegiem pocalowała do zbliżającego się tramwaju...

BEZ WIELKIEGO DZWONU

Gdy się zastanawiam, jakie właściwości talentu Czechowa, jakie jego sylwetki szczególnie urzekły ludzi radzieckich, to od razu wyłania się z pamięci trafne powiedzenie jednego z dyskutantów na wieczorne literackim w Moskwie: „Lubimy Czechowa, bo on nie lubił wielkiego dzwonu”.

Te słowa z kolei przypomniały mi różne spostrzeżenia i uwagi o Czechowie, które słyszałam w Związku Radzieckim z ust pisarzy, dziennikarzy rosyjskich, którzy się z nim stykali. Czechow nie znosił przemówień, jubileuszów, wszelkiej pompki. Potrafił „wyzwolić ludzi” — dy-

skretnie ale niezawodnie — z frazesu, poży, sztucznego patosu, potrafił wydobyć to, co było najcenniejsze w człowieku. O tym pisze Gorki w swych wspomnieniach o Czechowie. O komicznych sytuacjach, jakie zdarzały się ludziom, gdy Czechow delikatnie, ale stanowczo tłumiał „wielki dzwon”, opowiadał mi wiele Aleksander Tichonow (Sierbrow), literat, wydawca i redaktor znający osobiście Czechowa i zaprzyjaźniony z Gorkim. „Główny urok i właściwość Czechowa w obcowaniu z ludźmi — mówił Aleksander Tichonow — polegały na tym, że rozmawiając z człowiekiem, patrząc na niego uważnym, miłym spojrzeniem, Czechow doprowadzał ludzi do tego, że w końcu mówili to, co naprawdę myśleli i czuli, przestawali zgrywać się wobec Czechowa i siebie samych, stawali się, może przez krótką chwilę, ale takimi, jakimi byli naprawdę, w złym i dobrym”. W tej umiejętności wyzwalania ludzi z obcych naleciałości, w obnażaniu istoty człowieka, tkwi zapewne źródło czechowskiego realizmu.

„Poznałam Czechowa w jednym z majatków Sawwy Morozowa na Uralu. Wśród gości Morozowa był też pewien student (Sawwa lubił uchodzić za opiekuna biednych studentów), który sztucznie pograżał się w odemty pesymizmu, bo się naczał mądrego podówczas Schopenhauera i Nietzschego, choć z natury był wesołym, bardzo żywotnym i głęboko optymistycznym młodzieńcem. Właśnie Czechow wyleczył go z naleciałości pesymizmu. Pamiętam dobrze przejażdżkę łódką po jeziorze z Czechowem i z ówym studentem... Pod wpływem Czechowa chłopak rozkozmiał się, stał się swobodny i naturalny, opowiadał żywo różne kawały z życia rodzinnej wsi. Razem z Czechowem śmiesiliśmy się do łez. Można powiedzieć, że w towarzystwie Czechowa człowiek odnajdywał samego siebie”.

CZETCHOW PO MCHAT’OWSKU

Triumf „Czajki” na scenie MCHAT’u zapoczątkował twórczą drogę teatru. Sztuki Czechowa nadal humanistyczny kierunek MCHAT’owi, określały jego realizm. Z drugiej strony mchatowskie odczytanie i inscenizacja sztuk Czechowa stanowi dziś jak gdyby nieodłączną część jego dramaturgii.

W radzieckiej historii MCHAT’u Czechow zajmuje własne, wyjątkowe miejsce. Szczególnie czechowski urok miał w okresie radzieckim „Wiśniowy sad” w wykonaniu MCHAT’u. Na tym przedstawieniu blizsze były wyjątkowi miar gwiazdy aktorskie: Kaczalow, Moskwin, Chmielow, Dobronrawow, Knipper-Czechowa (żona pisarza). Czechow jako twórca dramatu lirycznego o bogatym podtekście, głęboko nastrojowym, był szczególnie sugestywny w „Wiśniowym sadzie”.

Jak docierał Czechow — dramaturg do ludzi radzieckich opowieści na podstawie podsłuchanych rozmów w teatrze.

„Wiśniowy sad” widziałam w MCHAT’ie trzy razy na przestrzeni kilku lat. Obsada różnych ról zmieniała się. Stale grała i niezmienne czarującą była Knipper — Czechowa w roli Raniewskiej. Bezpośrednie sady o przedstawieniu słyszałam często z ust młodzieży radzieckiej. Były one różne i nieraz sprzeczne. Szczególnie utkwiła mi w pamięci rozmowa dwóch młodzieńców, wyglądających na studentów. „Nie rozumiem, dlaczego tyle się mówi o dramaturgii Czechowa. Przecież to właściwie są recytowane opowiadania — psychologizowanie i brak akcji!” — mówił jeden z nich do kolegi. „Ależ siedziałś podminowany sztuka, nawet uszy ci poczerwieniały ze wzruszenia, więc po cóż to obudne teoretyzowanie?” — brzmiała odpowiedź. Pierwszy rozmówca jeszcze się bronił: „Nie przecież — przedstawienie bierze mnie, ale to chyba zasługa naszych zawsze niezawodnych mchatowców — oni z nudnej nawet sztuki potrafią wykreślić iskry. Czegóż warta jest sama Knipper-Czechowa jako Raniewska, ileż w niej kobiecego wdzięku, czarujące beztrojski, szerokiego gestu i tej „ewig weibliche” — nie spożytej zdolności kochania. Jak urzekająco mówi, zwracając się do Pieti Trofimowa: „Pora już być mężczyzną, pora rozumieć tych, których kochają i pora samemu kochać... pora panu być zakochanym”. To mówi przecież niemłoda kobieta, ale właśnie w takiej to bym się zakochał, choć biorąc na zdrowy rozsądek — dodał ironicznie — to świadczyłoby o sile „przeżytków kapitalizmu”. Nasi recenzenci teatralni piszą dużo o tym, że „Wiśniowy sad” ma sugestywną wymowę społeczną, że to sceniczny symbol bankructwa nieopzbowanej czaru szlachetczyzny i wzrostu siły prostackiej — drapieżnej siły rosyjskiego kapitalizmu. Cóż, można przyznać rację recenzentom, ale to jeszcze nie określa scenicznego nerwu sztuki. W „Wiśniowym sadzie” rozpyliwa się on w nastrojowości. Śmieje się z niedorzeczności Jępi-chodowa, ze szlachetnego oferny Pieti Trofimowa, gotów jestem zakochać się w Raniewskiej... A te symbole ze starym Firsem, zapomnianym w zamkniętym domu, jakos mnie nie biorą”. Przez chwilę trwała cisza. Znow zaczął mówić drugi „student” (tak go sobie określiłam).

„Zgodzę się z tobą, że określić — choćby nawet trafnie — społeczną wymowę sztuki — to jeszcze nie dość. Do mnie ze sceny przemawiają żywi ludzie, dowiaduję się o ich dramatach, namiętnościach, marzeniach, ścierają się charaktery, powstają konflikty. Myślę, że język recenzji teatralnej musi być zbliżony do języka sztuki. Suche, socjologiczne określenia treści sztuki

przez krytyka odskakują od widza, którego sztuka porusza, jak groch od ściany... Nie zgadzam się jednak zupełnie z twoją oceną sztuk Czechowa. Właśnie Czechow stworzył własny styl w dramaturgii. Nie mam odpowiednich słów na jej określenie, ale w „Wiśniowym sadzie” podoba mi się nie tylko kobiecy wdzięk Raniewskiej i nie tylko bawi mnie Jępi-chodow. Pisze się o podtekście sztuk Czechowa. Chyba w tym jest głęboka racja. Czechow po mchatowsku zagrany wzbogaca ludzi, choć niczego nie kładzie łopata do głowy. Wywołuje dużo różnorodnych skojarzeń, wspomnień, jest aluzyjny. Pierwszy raz byłem na „Wiśniowym sadzie” z moją niestara jeszcze ciotką — rzewnie się popłakała na tym przedstawieniu. Dlaczego — bo sztuka skojarzyła się z jej własnym dramatem — rozejścia się z mężem, który ją zdradzał. Pytałem zdziwiony, skąd jedno do drugiego — odpowiedziała mi zdenerwowana — jakiś ty niedomyślny — przecież Pietia mówi wyraźnie o kochanku Raniewskiej w Paryżu, który ją oszukuje, okrada. — Widziałś ja mojej ciotki to było ważne, a niesymbole społeczne. Moją uwagę przykuwa najbardziej Pietia i Ania. Pietia Trofimow przyciąga i drażni zarazem — zdziwił się zapewne, dlaczego. Niedawno czytałem przemówienie Lenina poświęcone pamięci Swierdłowa. Wiesz zapewne, że Lenin miał do Swierdłowa szczególny sentyment. Ale nie o to mi chodzi. W swym przemówieniu Lenin mówi o martyrologii ruchu rewolucyjnego w Rosji, gdy w ciągu wielu pokoleń ludzie pragnący rewolucji byli praktycznie nieudolni jak dzieci, przeżywali tragiczny rozdźwięk między słowem a czynem (zwłaszcza rosyjscy inteligenci). Patrząc na tego ofernego Pietię, jak powiedział, przypomniałem sobie słowa Lenina z owego przemówienia. Czyż Czechow tworząc postać „wiecznego studenta”, pechowca Trofimowa, nie podpatrzył trafnie znamienitych cech „rosyjskiej inteligencji, która była zaczynem, drożdżami dla przyszłego pokolenia inteligentów biorących udział w rewolucji. Nawet to co drażni w Pieti, jego nieżydliwość, również zostało uchwycone przez Czechowa po mistrzowsku. Swego bohatera Czechow ośmiesza, a zarazem przeciwstawia trywialności ówczesnego życia. Nieprawdą, zjawisko złożone ale przekonujące, prawdziwe. Spróbuj to pokazać bez psychologii, bez nastroju, o którym mówisz lekceważąco i niesłusznie, jako o namiastce sztuki dramatycznej! Właśnie sztuki Czechowa dają bogactwo, pełen wewnętrzny dramatyzmu obraz perypetyi politycznych i moralnych rosyjskiej inteligencji. Oczywiście, że nasi mchatowcy to czarodzieje. Widzimy Czechowa przez ich okulary. Jakież barwny świat, jakież bogactwo charakterów widzi się przez te okulary”.

Jadwiga Siekierska

JOANNA

WISŁA

Dyskusja była ostra. Anka zacięła swoją koncepcję scenariusza. Był to pomysł świeży, ciekawy, stanowiący próbie stworzenia filmowego poematu lirycznego, filmu łaczącego ścisłość dokumentu z lekkością poezji. We wspólnie do scenariusza Anka pisała: „W budowie dramaturgicznej scenariusza kierujemy się przede wszystkim emocjonalną logiką impresji poetyckiej... Mamy do czynienia z trójczłonową kompozycją scenariusza: Zadania poszczególne jego członów są następujące: część pierwsza, zamknięta w ramach lata i jesieni, mówi o odwrotności trudności ludzkiej nad Wisłą... część druga, dziełem wojny i nieulężności siły przyrody... część trzecia stanowi rozwiązanie konfliktów. Dzieje się wyłącznie we współczesności...”

Wtedy, losy scenariusza nie zostały jeszcze ostatecznie pozytywnie przesądzone. Przeprowadzono opublikowanie scenariusza, lecz Anka twierdziła, że nie wart jest druku. — „Kto to wydrukuje?” W gwarze dyskusji, sprawa publikacji została odsunięta na plan dalszy... Nadal spierał się o sprawę zasadniczą. Dla zwolenników scenariusza sprawa była jasna. Sam film powie o prawidłowości założeń. Nikt z nas nie mógł wiedzieć, że to ostatnia, wspólna rozmowa, że taśma filmu nagie zostanie zerwana. Pozostały pierwsze zdjęcia, pozostały nie napisane linijki komentarza poetyckiego — współtwórcy scenariusza — Władysława Broniewskiego. Pozostała gorzka nagle przerwana drogi. Pozostał tekst, którego fragmenty drukujemy. G. L.

PIEŚŃ O CHLEBIE

Przedwiośnie w górach. Topnieje śnieg na galeziach świerków. Na halach zakwitają krokusy. Mienią się w słońcu kropie wody.

Maleńkie strumyczki torują sobie drogę wśród kamienistych usypisk. Huczą górskie potoki, pienią się białymi grzywami wśród kamieni w dolinach.

Łączą się ze sobą dwa bystre potoki — Biała i Czarna Wisiecka. Płyną razem, webrane od topniejących marcowych śniegów.

Tak zaczyna się Wisła... gwałtowne przejście na — szerokie rozlewnie rzeczne w ujściu Wisły. Nisko nawisłe chmury. Fale morskie.

Wąskie, piaszczyste pasmo Mierzei Wiślanej.

Miejsce, gdzie fale wiślane łączą się z morskimi falami.

Niesposób już ich odróżnić, ani granicy wyraźnie dopatrzyć się między nimi.

Narasta szum fal morskich... cichnie stopniowo, przechodząc w muzykę. Dominuje w niej motyw fujarki.

Płynie Wisła wśród wysokich, urwistych sandomierskich brzegów — wśród płaskiego krajobrazu Mazowsza.

Płynie szeroko rozlana, majestatyczna, jak przed dziesiątkami, przed setkami lat.

— „Rzeko piękna, rzeko polska, rzeko mojego życia — dokąd płyniesz? Jeśli u twych ujść jest moja radość ostatnia, zabierz mnie, piękna polska rzeko, Wisło”.

„Płynie Wisła, jak przed wiekami płynęła na tej ziemi. Rytmicznie uderza fala o burtę poczemniał ze starości łodzi rybackiej... — Tak zaczyna się opowieść o Wiśle — odwiecznej arterii ziemi polskiej i o ludziach, od wieków żyjących nad jej brzegami. Opowieść o ich trudzie i walce, o klęskach i o zwycięstwie.”

*

Lasy na zboczech Tatr, na Lysy, w Puszczy Świętokrzyskiej. Kolyszą się na wietrze korony wysmukłych drzew. Drwale ścinają w lasach maszowe jodły i sosny. Spuszczają po górskich zboczach pnie ciosane z gałęzi. Na Dunajcu, na Nidzie łączą ze sobą ścięte drzewa w tratwy flisackie.

Wołają drwale: — „Hej tam, wy na dole — drzewo idzie!”

Ujście Wisły. Spienione fale morskie. Sieci schnące na słońcu.

Rybacy wołają: — „Hej tam, wy na górze — ryba idzie!”

Na Wiśle oddaje od brzegu długi sznur galarów i tratw. Ruszają na flis. Wiozą skarby ziemi polskiej — drzewo i zboże, kruszce i sól — to wszystko co tworzą w ciężkim znoju ludzie nad Wisłą.

Upalne letnie południe. Kolyszą się lany dojrzałego zboża. Pracują na polach żęney — chłopcy pańszczyźni. Widzimy ich twarze pociemniałe od słońca i deszczu, twarze napiętnowane zgrzygotą i troską codzienną.

Śpiewają żęney starą bandoską piosenkę...

„Śpiewają flisacy na tratwach stara pieśń o rosyjskiej biedzie, o dalekich rzyszach do Gdańska ze zbożem i drzewem, o ciężkim trudzie na Wiśle.”

Mijają tratwy flisackie bogate młast nad brzegiem wiślanym, dumnie błyszczące czerwona dachówka, miedzianą blachą zamków i kościołów — i mijają ludzi równie, jak oni sami, ciężkiego trudu — rybaków, piaskarzy, oryły ładujących w portach worki ze zbożem.

Oto Kraków, najeżony dziesiątkami wież kościelnych, Kazimierz z białymi atykami spichrzów i kamienic mieszczańskich, Toruń, opasany murami z czerwonej cegły,

— i wreszcie Gdańsk — złoty posażek króla polskiego na szczytce Ratusza, wieże, domy bogato zdobione.

Przed dworem Artusa — panowie szlachta i kupcy gdańscy — ci, którym służyła dobra wszelkie tej ziemi, przez innych ludzi w ciężkim trudzie tworzone.

W głębi — opasująca Gdańsk wstęga Wisły gęsto usłana statkami. Na komicgach, dubasach, lichtenach — zboże, zboże, obfitość zboża.

Przesuwają się przed nami sterty złoścatego ziarna... Susza. Wałę kłosa zboża. Wyschnięta, popękana ziemia. Wyszchnięte koryto Wisły. Obnażone lachy piaszczyste, mielizny. Ciśsza.

Sznur tratw flisackich osiadł na mieliznie.

Flisacy obwiązują tratwy linami, wrzęgają się w nie:

bosie nogi, mocno zapierające się w piach

spoczone twarze, koszule mokre od potu

nabrzmiałe z wysiłku żyły na skroniach, na rękach.

GRZEGORZ LASOTA

PAMFLET SERDECZNY

Dywiersia zbrojna po roku 1945... była pokątna, „bandycka”, na marginesie, nie wewnątrz społeczeństwa...

Revolucja w Polsce miała ton zupełnie inny... Zwyciężyła nie w postaci gwałtownych starć ulicznych, lecz jako rezultat refleksji, którym towarzyszyły „długie, nocne redakcyjne rozmowy”.

Przeczytałem te słowa Kałużyńskiego i pomyślałem, że przeżywała dzieśnię lat w tym samym kraju, byliśmy oddzieleni dwoma kręgi czasu.

Przed moimi oczami otwarty się drzwi cudownej szafy z „35 Mają” Kaestnera i przekroczyliśmy próg nowego wymiaru. Czeka nas podróz do kraju pasibiruchów, do kraju rządzonego przez dzieci, widzimy stadion pilki nożnej obserwujący pojedynek między Wallensteinem a Hannibalem.

Za drzwiami cudownej szafy działają inne prawa i odmienne obyczaje. Kury ciągną za sobą paltelnie, by móc składać sadzone jajka, chodniki zaś poruszają się jak automatyczna taśma...

Nie zdarzyło mi się nigdy. spotkać sympatycznego konia Caballero i dlatego nie zwiędziłem tych dziwacznych krajin. Ale widocznie cudowna szafa istnieje i przekroczywszy jej drzwi Zygmunta Kałużyńskiego prowadzi nas w inne kraje. Wkręca mieszczańskich doświadczeń i paradoksalnych uogólnień. Lecz w każdej fantazji jest szczypta prawdy i Kałużyński wskazuje nam skrytkę z kluczem do sytuacji panującej w naszym literackim środowisku.

Rzeczywiście nie były bębny na placach i rewolucyjne tłumy nie maszerowały w zbrojnych pochodach.

Ludzie byli na froncie. Zaczynała się rewolucja i płonęła powstańcza Warszawa, odmierzało pierwsze metry obywatelstwa ziemi i ciężko sunęły czołgi na zachód.

Przełom rewolucyjny nie nastąpił za jędnym zamachem, trwał i narastał obejmując coraz szersze kręgi ludzi. Rewolucja zdobywając władzę od góry, wspomagała działania mas. Ale rewolucji nie można rozumieć jako jednorazowy czyn: dekret objęcia władzy, ustanowienie nowych ministrów.

Revolucja od tego się zaczyna. W lipcowe dni klasa robotnicza wychodziła z podwójnego podziemia. Burżuazja przebrana w mundur walki narodowej walczyła o hegemonię w społeczeństwie. Sprzecznosci klasowe przesłaniała często walka o wyzwolenie narodowe, toteż treść zachodzących zjawisk nie zawsze jasno przedstawiała się masom.

Wewnętrzne siły postępu wsparł robotnik w mundurze czerwonoarmisty, a walka rozpaliała się dalej, gdy zamilił ostatni szturm w Berlinie. Interwencja i wojna domowa częściej działały w ukryciu, nie poprzez kozackie oddziały, oficerskie roty, zagraniczne pułki. Interwencja była skryta, znieczeka napadała aulta na drodze, kładła w lubelskich lasach, przebiegała się w maskę Lachowicza, pozorowała wierność sprawie narodu w deklaracjach Kuropieski i Tatarsa. Wielka zbrojka maskarada reakcji utrudniała dostatecznie szybki wzrost świadomości mas, utrudniała natychmiastowe oparcie się ludowej władzy na trwałym ludzkim fundamencie. Nieraz w te lata biedniak siedział na obróbie w kupała a powiatowy komendant MO był nasłanym bandytą. Masy nie nabrały jeszcze tego szerokiego oddechu, który zdumchnął z tronu Romanowów i Kiereńskich. Na własnej skórze chłop uczył się prawdy o Mikolajczyku i WIN-ie. Referendum, bandy, 1947 rok...

Sprzecznosci wychodziły na wierzch, traciły swój mistyfikujący charakter, walka klas rozpalala się również w bitwie o handel. Czy to wszystko było dywersją poza społeczeństwem, na boku, niejako nieistotną, mało groźną, skazaną fatalistycznie na zagładę?

Każdy z nas, kto z karabinem w ręku czuwał w noc jesienną a takich jest legion — każdy z nas zrywający głos na wiecach przedwyborczych na wsiach przy reformie rolnej — przywołał na świadka owe noce 46 i 47 roku, zadymione sale, czerwone oczy, pogrzeby zabitych towarzyszy. Szła wtedy wielka gra, której stawke stanowiły losy rewolucji, a wynik tej gry w c a l e nie był wiadomy.

W swoich rozważaniach Kałużyński na miejsce rzeczywistości przedstawia swoje wrażenia, pragnąc podnieść je do stopnia uogólnień. W ulicach polskich miasteczek — twierdzi Kałużyński, pustym echem odbija się głos agitacyjnych bębnow szkoły Majakowskiego, swojskim zaś głosem brzmi fujarka pastusza Gąsiewa czy Bartelskiego.

A więc znowu wracamy do starych rupiec — „niepowtarzalny charakterze Października”, o zgubnym hałasie „szkoły Majakowskiego”.

Naszej rewolucji obok szepotu liryka przecież też trzeba pieśni trybuna. Czyż pogarda do słów jednomyślnych, gromkich, pełnym głosem wypowiedzianych nie jest określonym sposobem pojmowania rewolucji?

Kryje się za tym obraz rewolucji widziany oczyma mieszczaucha, zakres życiowych doświadczeń właściwych naszemu literackiemu środowisku. Byłoby rzeczą zrozumiałą, gdyby zakres owych doświadczeń, zdrowe, stojące bajkowo obyczajów i stosunków między ludźmi leczyło pewnych pisarzy starszego pokolenia, uformowanych w dojrzewających w latach z „wolnej konkurencji”. Jednakże jest inaczej...

W mieście artystów słychać tony czarodziejskiego fletu. Muzyka szczytowała wywabia szkodliwe gryzono siedzące dawniej w norkach. Idą za czarodziejskim fletem, mniemając, że przyszedł czas ich działania. Z wielkim animuszem poruszają pyszczykami, niosąc swoje hasła wolności sztuki. Rozumieją je jako wolność od społecznego obowiązku. Lecz złudne są dźwięki fletu — nie zwisają chabalenia realizmu lecz wroźą estetom zagładę.

Wielu nie rozumie tonów tej mu-

zyki: orzeźwiający wiatr dyskusji, sporów, głębszego rozumienia wychowawczej roli sztuki, przyjmujące za odwrót na stare szlaki. Na wielkim historycznym zakręcie, jaki przeżywamy wzbogaca się marksistowska wiedza o sztuce nowymi stwierdzeniami. Odpadają stare dogmaty: sens marksizmu pozostaje. Zakręt jest niebezpieczny dla ludzi niepewnie siedzących na wozie. Wpadają przy drodze. Każdy wstrząs, każde odrzucenie niesłusznej myśli, wulgaryzacji, budzi w nich poczucie katastrofy. Dlatego, gdy przegupowują się oddziały, tyle zamieszania wśród maruderów. Dołączcie do oddziałów, kolezdy! Zapamięłujcie, jaka droga naszego marszu?

„Gdy po raz pierwszy przestępowałem próg Klubu Literatów na Pankiewiczza, wszystko wywoływało moje zdumienie. I owa frywola synrenka z obitym biustem, fruwnąca na gzymsie panny, kawa podawana na zebraniach otwartych organizacji partyjnej, styl rozmowy, ubrania, poglądy i zachowanie.”

Tak jak i koledzy, wcześniej wstępujący do tej oazy subtelnych artystów, uzbierałem się w pancerz niechęci, pogardy dla estetów, nieżyłceiwości oschłości wobec dyskusji.

Kryła się za nim młodzieńcza pochopność w ocenianiu ludzi, surowość wymagań, gorąca dążność do jasnej ideowej postawy kierującej krokiem człowieka.

Świat wydawał się znacznie prostszy, ludek losy znacznie bardziej jednoznaczne, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Owo zamykanie się w kręgu rówieśników, pełen nieufności stosunek wobec pisarzy starszego pokolenia, wynikał chyba z chęci samobrony, nie poddawania się aurze cynizmu, wyrozumiałości dla wszelkich słabości charakteru, inteligentkiej niezdrowej solidarności, a nade wszystko owej atmosfery praw specjalnych przysługujących twórcom. Owe prawa specjalne zwalniały od aktywności społecznej, pozwalały na lepsze życie, na przebywanie w zamkniętym kręgu osób dość odległych od powszedniego życia narodu.

Niektórzy z tych ludzi przeszli przez dziesięciolecie niezbyt trud-

nym szlakiem od łódzkiego „Pickwicka” poprzez Pankiewiczza, by skończyć na obiednich plotkach w Domu Literatów.

Niewątpliwie dokonywano przewartościowywania postaw ideowych, ludzie przechodzili głębokie przeobrażenia polityczne, lamali swoje dawne wyobrażenia o świecie, tworzyli nowe, uczyli się, często boleśnie milczeli nie mogąc wyrazić swych przemian słowem cełnym i trafnym, działali się te wszystkie wielkie sprawy, o których tak wyraziście mówi nam ankieta „Nowej Kultury” i szeroki front pisarzy.

Ale wielu przechodziło szlak redukcji ideowej nie zmieniając drogę od Pankiewiczza do Kameralnej, od Kameralnej do znajomych na brydza, by rankiem obudziwszy się w ciężkim „katu” zacząć w ten sam sposób dzionek na nowo.

Innymi słowy, kiedy wchodziliśmy do Klubu na Pankiewiczza, poznawaliśmy ogromną masę ludzi o odmiennym doświadczeniu życiowym, ludzi nie znających naszej rewolucji, tych wszystkich, co przez szczyby kawiarni nie mogli na własne oczy zobaczyć ani reformy rolnej, ani walki z bandami, ani referendum, ani budowy fundamentów pod budowę fabryk zęściółatki. Ludzi, którzy nie znali pracy w oddziałach milicji, wart nocnych patroli, szczęścia posiadania pierwszego pistoletu, organizowania pierwszych kół ZWM-u, wędrowek na Ziemię Odzyskaną. Poznawaliśmy wiele ludzi z tych, którzy w tych latach patrzyli na wszystko z gestem wyczekiwania, niedowierzania i nieufności. Dzieliła nas przepaść, bowiem wielu z nas przeszło tę pierwszą, powierzchowną szkołę rewolucji, kiedy oni milczeli patrząc.

Tak więc, nie był to mój zdaniem ani spór pokoleń, ani walka o taki czy inny styl literacki, lecz u podstaw kryła się walka dwóch różnych szkół życia, dwóch różnych doświadczeń życiowych i postaw intelektualnych ujawniających się w stosunku do literatury.

Była to przepaść między ludźmi działającymi i ludźmi przyglądającymi się.

Ale zasób owych „rewolucyjnych” doświadczeń pokoleń wychodzą-

cego z życia do literatury po pierwsze był dość różnorodny, po drugie dość wąski, po trzecie dość krótki.

Metody z wieców wyborczych czy zebrani ZWM-u nie były zbytbytożne w walce o nową literaturę. A jakże często wydawało się nam, że wystarczy głośno krzyknąć by przekonać przeciwnika, jakże często prymitywność odczuć przyjmowaliśmy za pryncypialność. Wnosząc nowy stosunek do życia, pisarze pokolenia Woroszyńskiego szli razem z kolegami, włokącymi ze sobą spory bagaż AK-owskich obciążeń, okupacyjnej gorczy, kombatanckiego zniechęcenia. Wszyscy zaś razem stanowili niemal bez wyjątków grupę inteligentek młodzieży, wcale nie zahartowanej w walce. Ostatecznie całe to sekiarstwo, niechęć do poznawania ludzi, unikanie przeciwników w spotkaniach i rozmowach towarzyskich, nie było niczym innym, jak intelektualną dziecinadą, przebraną w kostium partyjności.

Jeżeli dzisiaj piszę z gorzycą o mieszczańskich nastrojach i obyczajach środowiska literackiego, to źródła tych nastrojów widzę właśnie w owym rozdzieleniu edukacji intelektualnej od życiowej, w owym typie doświadczenia życiowego przeważającej części ludzi środowiska. Rewolucję trzeba widzieć na codzień, czuć jej przyspieszone tętno na budowie, na ulicy, w przypadkowej rozmowie, w dyskusji literackiej, w spiesznej salwie WOP-isty i kolorycie Starego Miasta.

Trzeba co dzień, co godzinę brać udział w jej walce.

Arkady Gajdar mając lat piętnaście uciekał z domu, by wyruszyć wraz z oddziałami Czerwonej Gwardii. Fajdziej walczył w partyzancie na wschodzie, Bagricki służył w oddziałach Czeka. Nie tylko z intelektualnej koncepcji, ale z własnego życia powstały „Duma o Opanasie”, meka Melechowa, walka oddziału Lewinsona.

Szkole pisania poprzedzały lata szkoły życia. Do literatury przychodził ludźle wnoszący swoje burzliwe czyny, swe oczy patrzące ostro, swoje ręce popękane na mrozie. Patrzyli na świat oczyma ludu a

BRONIEWSKA-KOZICKA

POEMAT
FILMOWY

Idzie wzdłuż brzegu długi szereg
flisaków, ciągnących tratwy.

Idą polnymi drogami ludzie — od
wsi do wsi — przez wyschnięte pola.

Idą za chlebem.

Głodne dzieci w izbach. Wychudłe
bydło. Stare babki, żebrzące na roz-
stajnych drogach.

Ręce, wygarniające z komory ostat-
nie ziarno, krojące na równe części
ostatnią ciwartkę chleba.

Handlarz, zabierający ostatni do-
bytek chłopski.

Bezczurne niebo. Słońce praży
popękaną ziemię. Idą ludzie droga-
mi... Mielizny na Wiśle. Krzyczą ry-
bitwy. Jaskółki krążą niespokojnie
nad płaską wodą.

Nadzieja burza.
Ludzie uciekają do chat, chowają
się pod stogami. Flisacy pozostają na
tratwach. Sciemnia się...

„Przedłużające się ściemnienie.
Grzmi, ciężkie granatowe chmury
nawisły nisko nad ziemią. Na ich tle
— kańczug wzniesiony w górę. Bly-
skawica przecina zygzakiem niebo.
Spada kańczug na nagie plecy, prze-
cina skórę czerwoną pręgą.

Zwarty tłum chłopów, spędzonych
na miejsce egzekucji. Twarze chło-
pów — pochylone głowy, oczy wpa-
trzone nieruchomo w jeden punkt.

Milczenie. Słychać tylko świst kań-
czuga.

Na tle nieba — wzniesiony do góry
harap... bat... nahajka...

Plecy pokrywające się krwawymi
pregami.

Chłop w dybach. Chłop w gąsiorze.
Chłosta pod przegięciem.

Znowu zwarty krąg chłopów pań-
szczyźnianych.

Bezsilnie zwisająca ręka chłopca,
poddawanego chłoscie. Ręka chłopca
stojącego w tłumie — spracowana,
zylasta. Zaciśnięta się pięść. Inna
pięść — zaciśnięta. Jeszcze inne pię-
ści. Podnoszące się do góry głowy...

Zacięte chłopskie twarze...

...i twarze z portretów szlacheck-
kich. Kontusze, podgolone łby. Bije
z tych twarzy pewność siebie, py-
cha.

Słychać pieśń rebeliantów chło-
pskich. Przez wikliny przybrzeżne pa-
da na Wisłę czerwony odbłask, migo-
ce na wodzie. Pieśń wzmacnia się, Lu-
na nad płonącym dworem. Znowu —
galeria portretów antenatów szla-
checkich. Narasta pieśń rebelian-
cka. Kłęby dymu przesłaniają por-
tetry.

Ekran zasnuty kłębami dymu.

Trumny chłopskie, znaczone żałob-
nym krzyżem.

Pogrzeby wiejskie.

Pochylone brzozaowe krzyże na
cmentarzach.

Jesień na wsi. Rzeka wezbrana od
jesiennych deszczów. Wsie nad wy-
sokim brzegiem wiślanym. Woda
podmywa brzegi...

...osuwające się do Wisły grudy
ziemi, rozwalające się chałupy, za-
rzedbane sady, zagrożone, na wpół
żut przez wodę pochłonięte odcinki
gruntu...

...stanowiące często jedyną wła-
ność chłopską, część ojcowizny. Mie-
dzy czworo, między pięcioma rodzeń-
stwem podzielonej. Trzeba więc było

odchodzić z tej ziemi, gdzie indziej
szukać pracy i chleba...

„Miła sercu ziemia Mazowska,
ale nad nią, jak wielko trumny,
zatrzasnęła się kłęką dolą,
jęczy ziemia w bezlitosnych topolach,
jęczy wiatr nadwiślański, szumny...”

Późna jesień.

Płynie Wisła wśród pustych pól.
Odlatują na południe ptaki wędrow-
ne, ciągną górą klucze zurawi. Od-
chodzą ludzie z rodzinnych wsi — do
miasa — za chlebem.

Dzieci chłopskie zbierające chrust
w lesie — odwracają głowy — pa-
trzą — idą boso nogi błotnistą drogą
— idą szeregiem chłopi.

— niosą na ramionach siekiery.
Na stylisku — zawiąnięto z chusty.
Za nimi — czerwona tarcza słońca,
nisko stojącego nad horyzontem. Wy-
dłużone cienie wierzby przydrożnych
— i cienie ludzi idących drogą.

Zostawiają za sobą ścierniska za-
snute nitkami babiego lata, dymy
nad strzechami chat, dymy ognisk
pastuszych na polach.

Przystają wychodzą nad brzegiem
Wisły, patrzą na jej szerokie rozlewi-
sko o zachodzie. Zanurza się w Wi-
śle krwawo zachodzące słońce. Zgę-
szczają się cienie nad rzeką. Na po-
wierzchni wody kołyszą się czerwone
smugi światła.

Przez czerwone języki płomieni,
przez dym widać ludzi siedzących
przy ognisku — drwali, węglarzy,
smolarzy. Spiewają półgłosem starą
pieśń z Gór Świętokrzyskich — o
pracy w kopalniach i w kuźniach, o
dawną a wciąż żywą krzywdzie.

Podchodzą do ogniska w lesie chło-
pi-wychodzący.

Sluchają pieśni...

Płonie ognisko w lesie, oświeclając
niespokojnym rudym blaskiem twa-
rze ludzi.

„Sluchają chłopci pieśni o doli, któ-
rą ich czeka...”

Wysoko bucha płomień paleniska
w kuźni. Pracują kowale, obnażeni
do pasa, w skwarze, w gorączkowym
pośpiechu...

...pracują ludzie w hutach szkła i
żelaza,

w odlewniach i w glśerniach,
w farbiarniach i tkalniach.

Narasta gorączkowy rytm pracy.

Wszędzie — brak powietrza, ciasno-
ta, gorąco. Wszędzie — katorżniczy
trud ludzi.

„Ale i takiej pracy nie starcza dla
wszystkich.

Pieśń urywa się nagle. Zatrzymu-
ją się koła napędowe. Zatrzymują się
wyciągi kopalniskich sztybów.

„Rozwidnia się. Brudny zimowy
świt wstaje nad miastem fabrycz-
nym. Martwe kominy, zamknięte
bramy, puste podwórza nieczynnych
fabryk.

Brudny brzeg warszawskiego Po-
wiśla. Widoczne w porannej szarów-
ce rudery, budy drewniane, usypiska
śmieci. W dali — most kolei żelaznej.

Pod filarami mostu śpią zbiegnięci,
skuleni ludzie. Śpią pod gołym nie-
bem bezrobotni, bezdomni...

...ci, którzy szukali w mieście pra-
cy i chleba — a znaleźli tę samą nę-
dę i tę samą, co na wsi, krzywdę.

Zaczyna padać śnieg.

Joanna Broniewska-Kozicka

„dialektykę brali nie z Hegla. Sa-
ma widziała się z wrzawą bitew-
ną”... (Majakowski).

Pisarz socjalistyczny — tak mniemam — to człowiek nie tylko o no-
wej ideologii. To człowiek innego
formatu, innego stylu, nowego sto-
sunku wobec życia. Niepokojąco
szeroka szczelina między doświad-
czeniem życiowym a intelektual-
nym zdaje się być jedną z zasad-
niczych wad literackiego środowis-
ka.

A młodzień, a ci co przyszli du-
nie i hataśliwie, co z nimi się dzie-
je przez ostatnie lata? A ci naj-
młodsi?

Widzę, jak wielu z nas wsiąka w
gąbkę mieszczańskich przyzwyczaje-
ń, układnie zgadza się z usmiech-
niętym durniem, rezygnując z wie-
lu zasad głoszonych przed laty.

Często mam wrażenie, że pozy-
wając się ową przekornej czupur-
ności, prostaczej demagogii, dosko-
naląc swoje rzemiosło literackie
wielu z nas myli krok, miast zbli-
żyć się do środowiska, przechodzi
na mieszczańskie pozycje.

Wszystko pochodzi latwo, jak
butka z masłem zapita mleczkiem
w barze na MDM-ie. Szybko druka-
ją, nieźle placą, proponują umowy,
dają stypendia.

Ostatnie widok masy ludzi ży-
jących sobie zupełnie nieźle, pisa-
jących kiepskie piosenki, teksty do
„Artosu”, skecz do cyrku — wska-
zując drogę łatwego i milego życia.

Z czasem wady charakteru, leni-
stwo, gnuśność, brak dyscyplino-
wania okazują się cechami wyzwe-
szonego, dowodem subtelności i
głębi uczucia. Zaczyna się „szkoła
charakterów”. Szlifując grube kan-
ty, prymitywne reakcje na poglądy
otoczenia, młody pisarz wyrzuca
przysposobności za burę prostoli-
ność. Inny, lecząc się z nieogłę-
dnym entuzjazmem i zapalem, pomal-
u przybiera skórę cynika.

Ostrość sądów i stałość przeko-
nań zaczyna być traktowana jako
dowód prostactwa, szczerza emocja
polityczna — jako godna śmiechu
najność. Coraz częściej poznaje
się ludzi piszących co innego i mó-
wiących co innego. Dwulicowość
przestaje być obrzydliwostwem a jej

spokojne traktowanie jest dowodem
rozumienia złożoności duszy ludz-
kiej. To, co jeszcze nie zostało
wcale tak mocno utrwalone: przy-
wiązanie do pewnych zasad, poczu-
cie zdyscyplinowania, rozumienie
szlachetności zawodu, pomatu kru-
szej, wietrzeje. Życie co innego i
literatura co innego.

Wokół ludzi piszących, ludzi róż-
nego kroju lecz zjednoczonych
szczerym ukochemiem swej pracy,
rozrasta się bogata kolonia owych
grzybów gnilych, której poświęcił
złośliwe uwagi Konwicki. Pomatu
opinia kawiarni staje się ważniejsza
od opinii czytelnika, poklask grupy
dziśników — nagrodą za pracę. Sprzed
oczu nikną szersze perspektywy,
pozostaje horyzont kawiarni. Wte-
dy wyjazd w teren, szukanie no-
wych ludzi, poznawanie nowych
spraw staje się zbędnym.

Zaczyna być duszno. Widoczne z
daleka, wolno poruszają się w
zwartym kręgu mieszczańskie twa-
rze. Są coraz bliżej. Przybrały naj-
różniejsze maski i przymilnie mru-
gają do nas.

Nie wierzyć!

Ten, co udaje śmiała i rewolu-
cjonistę atakując wszelkie autory-
tety, jest nihilistą obojętnym na
wszystko, nie rozumiejącym tego,
co piękne i nowe: w jego oczach
wszystko godne jest krytycznego
wymyślenia.

Samotny protest przeciw niespra-
wiedliwości, bunt inteligenta nie
widzącego perspektyw rodził nihil-
izm. Było w nim ziarenko postępu,
o tyle, o ile przyczyniało się do
podważania gmachu niewoli. W na-
szych warunkach jest ziarnem
wstecznictwa. Bez pozytywnego ce-
lu krytyka kraju rządzonego przez
lud nie służy jego sprawie. Pokrzy-
kiwanie sprawą wrażenie aktyw-
ności, lecz kryje w sobie niewiarę.
Śmiałość jest tu brakiem odpowie-
dzialności za losy rewolucji, jest
brakiem szacunku dla wszelkich au-
torytetów. Dawno temu, kpiąc so-
bie z drobniomieszczańskich anar-
chistów nie uznających społecznej dy-
scypliny, zasady podporządkowania
się, autorytet partyjnego kierow-
nictwa, pisał Engels: „Rewolucja to
przecież niewątpliwie najbardziej
autorytatywna rzecz jaka tylko jest

możliwa. Rewolucja jest aktem,
przez który jedna część ludności na-
raca swoją wolę drugiej części, za
pomocą strzelb, bagnętów i armat,
tzn. środków niezmiernie autoryta-
tywnych”.

A oto drugi — obłudnik. Na rozkaz
zmienia zdanie. Nigdy nie myśli o
swoich postanowieniach, gdyż my-
ślią za niego. Nigdy nie wie, co są-
dzić o nowym zjawisku, gdyż są-
dzą za niego. Swą obłudę przedsta-
wia za ideową dyscyplinę — rzeko-
mo podporządkowuje się większości.
W gruncie rzeczy cechuje go
wspaniała obojętność wobec życia.
Może zmieniać zdania, gdyż nie
przywiązuje się do nich, myśli tyl-
ko o sobie.

Oto jeszcze jeden...
Oto mój przyjaciel M. Był w
partyzantce, potem pracował wśród
młodzieży. Od paru lat jest zawo-
dowym literatem. Z jego społecznej
aktywności nie pozostało ni śladu.

Obraca się wyłącznie w kręgu knaj-
py i kawiarni, od czasu do czasu
wyjeżdża do Domu Pracy Twórczej.
Nie jest rzeczą godną alarmów, że
popija wódkę — nie jest pijakiem,
nie jest rzeczą godną alarmu, że
siedzi w kawiarni — lubię przecież
kawę; ale przeraża fakt jego odea-
wania od kraju, wewnętrzna demo-
bilizacja. Spróbujcie poprosić go o
artykuł. Przyrzeknie Wam napisać
za tydzień, jeśli zaś odda po dwóch
miesiącach, będziecie mieli nie lada
szczęście. Obecnie jest w dużym
kłopotcie — nie wie, jaki kupić sa-
mochód.

A oto inny. Zawsze ironicznie na-
stawiony wobec świata. Na tle
własnych niepowodzeń gotów jest
cały świat widzieć w żółciwym ko-
lorze. Jego opinie o ludziach są
zawsze ujemne, jego komorne nie
opłacone od 12 miesięcy. Pieniądze
za firm dawno przepułtał na wino.
Najgorsze zaś w tym wszystkim
nie są te drobne przykłady, lecz to,
że my wszyscy razem, ulegając pre-
sji niedobrych obyczajów, nie u-
miemy dostatecznie ostro przeciw-
stawiać się im.

Zrozumcie mnie dobrze. Nie kru-
szę kopii o „styl życia” rozumiany
bardzo zewnętrznie. Kawiarnie,
knajpa, alkohol — to rzeczy dla lu-
dzi. Nie przybieram pozy starej de-
wotki biadającej nad upadkiem o-
byczajów. Te zewnętrzne cechy są
drugorzędne. Tu chodzi o sprawy
głębsze: o stosunek do życia, do
prostych ludzi. Tu chodzi o walkę
przeciw postawie obserwatorów,
sceptyków, postronnych przechod-
niów. Tu chodzi o wyrobienie po-
czucia odpowiedzialności za losy
kraju i literatury. Tu chodzi o wal-
kę z lenistwem myślowym, pochop-
nym ocenianiem pojedynczych fak-
tów. Trzeba przeobrazić stosunki
między nowym pokoleniem pisarzy,
nadać więcej cech serdeczności i
żywczości: tworzyć kolektyw. Na-
de wszystko rozbić skorupę separa-
jącą od życia, nie ograniczać się do
wyjazdów w teren. Czynny udział
w budownictwie kraju, gorączkowy
niepokój o sprawy wspólne, posta-
wa bojownika współtworzącego ży-
cie — oto nowy pisarz.

Mijają lata, a do środowiska li-
terackiego bardzo rzadko przybywa
ktoś niosący nowe społeczne do-
świadczenie. Godny zastanowienia
jest anemiczny i powolny awans
młodzieży ze środowisk robotni-
czych, pozostawanie ich na margi-
nesie literackiego życia. Zaledwie
Hamera, Holda, początkujący nowe-
lista Grab w Stalinogrodzie, czy
Białowś w Wrocławiu. O kołach
młodych lepiej nie mówić.

Oto gdzieś tutaj, na styku psy-
chologii społecznej i socjologii śro-
dowiska szukajmy źródeł pewnych
wydarzeń.

Jesteśmy u kresu naszej podróży.
Czy znacie zwiedzoną krainę?

Czy w podróży naszej potrzebne
były drzwi cudownej szafy?

Myślę, że nie. Staratem się na-
kreślić nieudolnie kontur krainy
rzeczywistej.

Powiecie, że krajobraz szkiecowa-
łem niedokładnie i niedbale. Po-
wiecie, że przesadzam.

Powiecie, że sprawę wyolbrzy-
miał... Być może.

Czekam na wasze zaproszenie w
inną podróż — ale bez pomocy
sympatycznego konia Caballero.

Grzegorz Lasota

się, ale wyraźna, ostra i barwna
jak stary sztych.

Babcia milczy, zbiera myśli, czy
jej goreją tym dziwnym i cudownym
blaskiem, jaki płonie w oczach nie-
których starych ludzi: jest w tym
coś z dojrzałej jesieni, bogatej, peł-
nej barw i ciepłego, łagodnego jak
dostały miód, słońca. Wspomnienie
dalekie, przyleżałe pod latami, nie-
raz mroczne, ciężarem serce przy-
walające: niekiedy mgliste, dalekie
aż strach po nie sięgać.

— Cóż — mówi wreszcie. — Zna-
cie to wszyscy...

— Ale jeszcze raz. Od początku. O
tym jak zaczęliście chodzić ze sobą.
I babcia mówi.

Dziadek pracował w stolarni Lu-
kieskiego na Lesznie. Był już wtedy
szanowanym panem czeladnikiem
„z papierami” po latach głodowego
terminatorstwa. Meble robili i ba-
bcia, — młoda, płoża, dziewczyna
— przyniosła wypłatane krzesło
do naprawy. Ot, drobnostka — po-
ręcz przykleić.

— Za tydzień będzie! — Oświad-
czył dziadek i szurnął krzesłem w
kąt bo zawsze był zamasyisty, szyb-
ki, jak iskra gorący — „nigdy nie
było wiadomo co z niego wyskoczy.”

Już wtedy ludzie mówili mi: pilnuj
się panna, panno Loniu, bo to kin-
dżiorowaty łeb, więc straszny rap-
tus...”

Przysła babcia po tygodniu: nie
gotowe. Po dwóch: to samo. Po cze-
rech, po pięciu, a w szóstym —
dziadek się oświadczył. Potem do-
piero, już jako ślubny małżonek,
przyznał się, że tak specjalnie ro-
botę odkładał.

— „Zawsze lubił kręcić — mówi
surowo babcia — i przez to...”

Przez to kręcenie mało brakowało
a nigdy by do ołtarza nie doszli.
Dziadek był gorący, babcia także,
sparyli się wzajemnie pewnego
razu i rzecz jasna — pokłócili już
na śmierć, życie i czyszcie. Babcia
rzuciła w niego zaręczynowym pier-
ścieniem, i odeszła na zawsze,
gniewnie falując sukniami.

— Ale przecież wiadomo, że jak cię
baba usidli, omota — na wielki już
przepadek. Przepadł i dziadek. Przez
tydzień grył się wściekle z własną
ambicją, potem zaklął z szewską
pasją (zawsze lubił się „rugać”) i
poszedł do babci. Z wściekłością
poszedł, że to on, pierwszy czela-
dnik, pan Konstanty, ale cóż robić,
kobieta.

A tu z bramy wychodził babcia,
nie sama ale z tym Hipolitem o
drzewo psu u Brońskiego. Dziadek
nie zdziwiał — laska pękła na Hi-
politowym łbie.

— To panna z takim owakim co
nawet skleić dwóch tarcio do kupy
nie potrafi, chodźcie? Z takim la-
chudrą niemytym co trzy razy w ce-
chu na egzaminie się obcinał?

Bo tamten też był stolarskim ce-
ladnikiem, ale gdzie mu tam do
dziadka. Żaden pryncypał widzieć
go nie chciał, chyba tylko właśnie
ten Broński co samą fuchę na pro-
wincję puszczal.

— Ale babcia dziadka — też nie
chciała widzieć. Odeszła dumnie,
odeszła Hipolit z głową powiększo-
ną (do apteki, po wodę gulardową),

i dziadek z sercem na strzepy roz-
dartym. Na Wisłę, topić się...

— Ide ja za nim — mówi babcia
— a on stoi nad Wisłą, głowę ręką
podparł i patrzy. A te oczy u nie-
go — jedna rozpacz. Potem siada
i kamazie zdejmuję. Nie wytrzyma-
ło serdce, podeszłam do niego.
A ten...

No, ale wiadomo, że z tymi, którzy
mają czupryny czarne i barankowa-
te, żartów nie ma. I dziadek zamiast
dać się pochłoniąć falom, z sercem
w dalszym ciągu rozdartym na strz-
epy strzępów — zbił babcie na kwaś-
ne jabłko.

— To ja mam życie swoje utopić?
Palcem kiwnę i dziesięć przyleci.

A potem usiedli, kiedy już cała
złość się w nich wygotowała, objęli
się ramionami, i płacząc patrzyli na
gwiazdy, które szerokimi skosami
spadały w ciemną rzekę...

I dopiero po latach się przyznał
zberzeźnik, że dlatego kamazie ścią-
nął, bo go nogi strasznie piekły i w
Wisłecie chciał wymoczyć.

Dalej to już łatwo się domysleć:
ołtarz, weśse skromnieszkie, ktoś
stójkowego pobli doniczką z fukcją
i od razu dług z wesela na cale ży-
cie. I popłynęły lata. Została foto-
grafia: babcia w szewiowej sukni,
w sznurowanych, do połowy łydki
wysokich bucikach: dziadek w śmie-
sznie wąskim tużurku, z nową la-
sęczką, groźnie wytrzeszczony w a-
parat fotografa. Znając dziadzia,
można się o milion złożyć, iż kłął
wtedy w ducha.

Nie chce babcia mówić dalej o
tych latach. Jednak podobne do
siebie, pełne głodu i trwogi, rzadko
przetykane jasnym wspomnieniem.
Po coś mówić o tamtych latach,
kiedy dzisiaj co innego człowieka
raduje.

— A jak to było z tymi zebra-
niami, babciu?

I jak tu teraz opowiedzieć, kiedy
to lata odległe, czwarte i piąte no-
wego stulecia, i wszystko już przy-
bladło jak ta fotografia?

— „Czterdziestu chłopca nierzaz
przychodziło. Nadymlili, nabrudzili
podłoga — doszorować się potem nie
mogłam. A ten... no jakże mu tam?
Bolek Szybiński, zawsze popiół do
doniczek strząsał. Raz mi nawet
fuknię przewrócił...” Tak pięknie
przemawiał — wzdycha babcia —
w córce Michalczyków — jej kochsi...

— I co? — pyta Władek tragicz-
nym, rzec można — czarnym głosem,
bo właśnie przeżywa pierwszą (naj-
większą, jedyną, pierwszą i ostatnią)
miłość, a więc wszystko tragicznie
i także na czarno.

— No i nie — mówi równie ponu-
rym głosem dziadek — wpadł w
końcu.

— Na Sybir go wywieźli?

— Zebyl! Gorzej — ożenił się.

— Konstanty — mówi surowo ba-
bcia — Konstanty.

„W małym pokoiku padły hasła
groźne i potężne. Wtedy babcia,
po raz pierwszy w życiu, usłyszała
słowo „rewolucja”. A ojciec nasz —
mali chłopiec — stał przed bramą
i patrzył czy garadawoj nie
nadszedł. Był to rok 1905, rok bun-
tu, uniesionej pięści i pieśni czer-
wonej: „Na barykady...” Ojca i stry-
ja wywalono ze szkoły za strajk.
„Ich zawsze nosiło” — mówi babcia
i patrzy na lysego ojca z niejakim
wyrzutem i nagana.

— A ten sublokator co mieszkał
u nas, jak się nazywał? — pyta ktoś
szybko, chcąc odwrócić rozmowę od
stryjka.

— Borysiewicz... Ach, co ja przez
niego miałam. Pamiętasz, Kostuś, z
tą bibulą?

— Uchu, uchu — mamrocze dzia-
dek zreszcie podkradając ojcu pa-
pieraśa bo swoich — jak osiemdzie-
siąt cztery lata żyje i grzeszy na
tym świecie — nie miał — „A jak-
że pamiętam, pamiętam.

— Ale od początku! — protestuje-
my — Jakże to było, babciu, z tym
akalatocznym nadzie-
talem?

Zakocheł się ten akalatoczny
od razu, od pierwszego wejścia,
jak tylko babcie zobaczył i ciagle o
tym mówił, mową piękną, piękną,
rosyjską. Za rękę babcie trzymał i
w oczy patrzył. „A miał te oczyska!”
— wzdycha babcia i filuternie na
dziadka spoziara.

— Barynia. Ujdmi od siuda
na maju rodinu! Ujdmi nad
szyroki, prekrasnyj Don...

Mówił babci o tym, jak nocą będą
wychodzić z chutoru w step, klasie
się wśród ostych burzawów. I li-
czyć zwiózdy, które jak deszcz
spadają w głęboki, groźnie szumiący
Don. Rodaczkę swoją znalazł, ser-
cem śgęsknionym do ziemi rodzinnej
przygnał i ciagle jej obiecywał, że
żyć będą jak wolne ptaki, wśród
stepów szerokich i gorzko pachną-
cych, z dala a tój praklatój
strany. gdzie każdy na niego wil-
kiem patrzy chociaż nikogo tu nie
ukrzywdził, a car także ludzi prze-
śladować.

„W czterdziestym piątym roku go
spotkałam — mówi babcia — ofice-
rem już był — chyba pułkowni-
kiem, siwiutki całkiem, starek, a
orderów miał na sobie, że aż strach...
Powiedział mi wtedy: „No matekno.
Teraz i twoja rodina wolna, i
moja, a krzywdzić nikogo już nie
wolno. Kłaniaj się swemu miastu
ode mnie — ja ide dalej. — Na Ber-
lin. Żyj, szczęśliwie Lenoczka...”
I wiecie co? Wtedy, po raz pierwszy
— zdradziłam ciebie Konstanty: on
pocałował mnie w policzek,

Wzdycha babcia: — A tak pięknie
spieszczał moje imię: Lenoczka... A
ja po prostu — Eleonora.

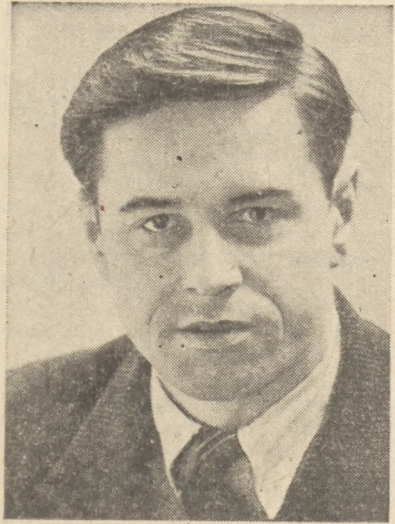
— Też sobie wybrał! — warczy
dziadek i okiem wściekle lypie —
No, ja bym mu pokazał.

— Nic byś mu nie pokazał! —
Mówi energicznie babcia i ręką o
stół bije. — On był od ciebie trzy
razy wyższy, a na jego wąskich
mógłbyś się huścić. Precz, pleciugu.
Cóż ty Konstanty grzybie — wspo-
minąć nie dasz?

Trzeba wiedzieć, że dziadek jest
nie duży, krępy, ale lata go do
ziemi nie zdolały przygnać, prosto
się trzyma jak parafialna świeca,
a te oczy płoną mu niespokojnie jak
przed sześćdziesięcioma lat

- ZBIGNIEW FLORCZAK

Piórem eseisty



Podróż na Zachód" Kałużyńskiego *) już po paru miesiącach była wyczerpana w handlu. Obecnie ukazało się drugie jej wydanie. Jest to jedna z najciekawszych książek, jakie u nas po wojnie napisano — najciekawszych również w sensie popularnym, tak jak się mówi o książce wybieranej do poduszki: ciekawa, czy nie ciekawa.

Według pospolitej terminologii szkic literacki nie jest „utworem” — w istocie jest jednym z najtrudniejszych i najpiękniejszych utworów pióra. Wymaga temperamentu, który nie boi się ryzykować uogólnień, wymaga również jakiejś myślowej intuicji — bo w eseu nie ma czasu wszystkich macać ręką, nieraz trzeba zrobić szybki wniosek bez widocznych dowodów. Jest to, słowem, literatura z lotu ptaka i potrzebna w normalnym układzie rodzajów literackich tak, jak mieszkankom miast potrzebny jest od czasu do czasu wyjazd w góry i górskie powietrze.

Otóż, czy zauważyliście, że esej źle się czuje w naszym układzie kulturalnym, że go prawie nie ma?

Były dwie po wojnie książki nierówniejsze wagi, ale obie świetnie napisane, tak jak powinno się pisać szkice, „Mitologia i realizm” Kotta, oraz „Spotkania włoskie” Mariana Brandysa. A potem... były tylko (na pewno nie wiele przesadzam) wznowienia klasyków esaju: St. Witkiewicza, Wacława Nałkowskiego, Sygietyńskiego i mistrza Boya. Skąd ta luka na półkach naszej literatury?

Natura esaju, jak już mówiliśmy, jest harda, nie czapkuje schematami redaktorskim. W jego charakterze leży to wszystko, co napędza na ogół wstrętem zespół redaktorski: lekkość, dowcip, gra słów, paradoks. Paradoks został wypędzony na cztery wiatry z naszych szpał, na jego widok maszynistki w redakcjach mdleją, a korektorki składają wymówienia! Paradoks, bez którego styl publicysty jest jak oko bez blasku, jak sopran bez koloratury. Prócz zamilowania do paradoksu, esej uprawia jeszcze inny, zgroźny wywołujący w redakcjach nałóg: lubi dygresję. Nigdy nie idzie do celu szosą, woli węszyć na peryferiach, przetrząsać myślową manierą okoliczne krzaki, co mu nie przeszkadza utrzymać kierunku.

Aby przyjąć do roboty redaktorskiej esej i następnie opublikować go, trzeba większej dozy odpowiedzialności, większej dozy decydowania. Trzeba mianowicie zdobyć się na sąd, że ani paradoks, ani dygresja, ani polemiczna złośliwość — wszystko rzeczy tak niepodobne do schematu redakcyjnego — nie zaszkodzi naszej polityce kulturalnej i wziąć na siebie odpowiedzialność za ten sąd. Jeżeli w redakcji decyduje jedna indywidualność, wówczas wypadek taki jest możliwy. Jeżeli w redakcji decyduje wypadkowa kilkunastu indywidualności znudzonych od dawna tym, co same podpisują do druku — wówczas szansa esaju kurczy się. Obetną mu dygresję, wykastrować paradoksy, zmieniać tytuł, skrócić i wyrzucić.

Powinszować Kałużyńskiemu, że jego redaktorzy nie poddali się drzemce urzędniczej i puścili w świat jego książkę.

Ktoś mi powiedział, że jeżeli „Podróż na Zachód” została tak szybko rozchwyta, to głównie dlatego, że ma dobrą koniunkturę. Ze niby lu-

dziska szukają smaczków zachodnich, od których jeszcze nie całkiem odwydziali się, tak jak wieczorem, en pantouffles, łapią jazzową muzykę. To nieprawda, to tylko wystający ogonek prawdy, to zwulgaryzowanie zasadniczego zjawiska. Owszem, książka Kałużyńskiego trafiła na koniunkturę, tak jak trafia u nas na dobrą koniunkturę wszystko, co jest antyschematyczne, co jest antynudziskie. Ale to jeszcze nie najważniejszy powód jej atrakcyjności.

Nie potrafię przytoczyć dosłownie spostrzeżenia Słonimskiego, który w jakiejś dyskusji w Związku Literatów powiedział, że u nas poziom argumentacji, (w publicystyce, w sporach ideologicznych) jest wciąż na zbyt niskim. Taka była w każdym razie myśl Słonimskiego, myśl niezwykle ważna. My nie robimy np. satyry na kapitalistów, sugeruje Słonimski, my raczej pyskujemy na nich. Za wszelką cenę należy podnieść poziom i gatunek naszych argumentów.

Książki takie, jak „Podróż na Zachód” są jakby odpowiedzią na hasło Słonimskiego. Kałużyński dostarcza materiału dowodowego do procesu, jaki kultura socjalizmu wytacza Zachodowi. Książka Kałużyńskiego to antologia argumentów, wśród których są argumenty wysokiej klasy intelektualnej.

Bo co my wiemy o Zachodzie, na który każdy nasz publicysta wylewa przy byle okazji kilka płynnych inkwektów.

Formuła socjologiczna, sama będąca wynikiem studiów i doświadczeń, a więc np. formuła potępiająca Zachód — przy całej swej słuszności nie może zastąpić wizji Zachodu, analizy Zachodu, tego włożenia rąk w otwartą, ropiejącą ranę Zachodu. Po prostu byłoby bardzo niewłaściwe, żeby młode pokolenie naszych publicystów posłużyło się gotową formułą, ominąwszy trud studiów i doświadczeń, z których ta formuła powstała. Wprawdzie siadamy na motocykl nie troszcząc się o to, kto i kiedy zrobił epokowy wynalazek koła — ale w intelektualnym warsztacie publicysty, wychowawcy innych umysłów, musi być inaczej.

Na ogół wszyscy przyjmują bez sprawdzenia pewnik o tak zwanej zgniliznie Zachodu, o rozkładzie jego sztuki i obyczajów. Kałużyński wypływa przed nami cały wór drobniawych argumentów, które tę tezę ilustrują. I to w postaci — by tak rzec — półprzetworu, nie odbiera nam przyjemności dopracowania, dosmażenia wniosku, zanim go skomunikujemy. Opowiadając o inwazji amerykańskiego stylu życia, np. o absurdalnym reklamowanym systemie dietetycznym prof. Hausera, nie omija okazji obszernego streszczenia sztuki Jules Romaina o doktorze Knocku, co z kolei daje mu powód do dowolnych, ale niezwykle interesujących wywodów o dyktaturze moralno-obyczajowej, jaką sprawują w cywilizacji zachodniej lekarze. Wywód jest sugestywny, w oczach czytelnika tworzy się barwna personifikacja tej kultury: zestarzały, kaszlący rentier z nieodstępnymi proskami w kamizelce, bardziej zależny od swego lekarza domowego niż chłop bretoński od swego proboszcza. Naturalnie jest to tylko jeden z obrazów, jakie Kałużyński, mówiąc o Zachodzie, wywołuje w naszej wyobraźni. Inne są również groteskowe, ale bardziej przerażające: na przykład wizja agresywnego katolicyzmu francuskiego, który stał się dziś jednym z modnych kierunków intelektualnych. Katolicyzm francuski (wyrażający się w sztuce Claudela, Mauriaka, Martina) ma dwie — generalizuje Kałużyński — zdumiewające, zwłaszcza dla katolików polskich, cechy: psychologiczny erotyzm oraz imperializm — zupełna aberracja etyczna w dziedzinie polityki. W tym rozdziale można znowu sprawdzić charakterystyczną w ogóle dla esaju, a w tym wypadku dla Kałużyńskiego metodę dowodzenia, metody, by tak rzec podjadowną: dużo relacji, dużo anegdoty, ciągła gotowość do dygresji i małe, marginesowe syntezy, owe strzały z przetrutu, które utrzymują czytelnika w stanie wciąż rozbudzonej ciekawości, mimo że tok książki jest niełatwy, pełen erudycji. Np. mówiąc o książce Claudela, nagle Kałużyński wtrąca: „W podobnej sytuacji znajduje się major Scobie, bohater powieści Greena „Sedno sprawy”. Ten oficer kolonialny przeżywa wielki dramat grzechu zapar-

cia się Boga i nawrócenia — wszystko na tle „normalnego” urzędowania, w systemie nieludzkiego wyzysku kolonialnego... To poszukiwanie tła egzystencjalnego dla rozterek moralnych u obydwu pisarzy katolickich francuskiego i angielskiego, przy jednoczesnym ignorowaniu odpowiedzialności społecznej — zdaje się świadczyć o oświepczym pochodzącym ze wspólnego źródła: z obudoty tradycyjnej u synów owych pionierów, którzy zdobyli Afrykę dla kapitalizmu przy pomocy mauzera oraz Biblii”.

Pamiętam, ile to rozmaici filozofowie z „Tygodnika Powszechnego” i „Dziś i jutro” wypisywali na temat „Sedna sprawy”, gdy książkę trzy lata temu wydał Pax — ale żaden z nich nie uczynił tej prostej a zabójczej uwagi, jaką zrobił Kałużyński. Dodajmy, że uwaga jest umieszczona petitem, w przypisku, jakby obserwacje autora przelewały się przez brzoję głównego korytka książki. I tak jest w istocie, autor patrzy w rozmaity krajobraz Zachodu i szybko, bystro formułuje mnóstwo spostrzeżeń, które sumarycznie układają się w wyczerpujące oskarżenie tej cywilizacji. Jest to podróz, w całym tego słowa znaczeniu, podróz łazikiem o napędzie na cztery koła, który nie musi trzymać się autostrady, jedzie gdzie mu się podobą — na przelaj. Po drodze wiele erudycji, tej erudycji łatwo dostępnej, erudycji à la fourchette, ale konkretnej i posilnej. Z samych marginaliów książki Kałużyńskiego można by uszyć kilkanaście odrębnych studiów. Jakże ciekawa jest np. uwaga o okrucieństwie i cynizmie dawnych chrześcijan uczyniona na marginesie rozdziału pt. „Satyra na mieszczańską śmierć”. W społeczeństwie, które ma do odrobienia takie zwaly ignorancji i naiwności, które np. na epokę katakumb patrzy poprzez „Quo vadis” — rewelacyjna stroniczka Kałużyńskiego powinna rozrosnąć się pod innym piórem w osobne studium.

Jakże świetny i mądry — choć wyłamujący się z ram książki — jest szkic o Dawidzie! Pozyteczny, zwłaszcza dziś, gdy postulowana ofensywa realizmu socjalistycznego w starciu z nałogami postimpresjonistycznymi wnosiła w plastykę polską tyle zamieszania.

Nie ma mowy o tym, żeby w tym przedłużającym się artykule próbować wyczerpującego omówienia „Podróży na Zachód”, zresztą nie podjąłbym się tej roli sprawozdawczej. Książka ta, to gąszcz, w którym niesposób wszystkich liści sprawdzić. Na przykład mówiąc o lekceważeniu Senancoura przez oficjalną historię literatury Kałużyński informuje: Lanson poświęca mu stronniczkę, jako „młemu poprzednikowi romantyków”. Mam w domu podręcznik Lanson’a, gdzie po dość starannej analizie „Obermana” autor m. in. pisze: jest to dzieło myślowo bogate, różniące się tym od większości dzieł romantyków, że podczas gdy u nich niepokój ma podkład uczuciowy, u Senancoura obserwujemy w pierwszym rzędzie zaburzenia natury intelektualnej, inteligencji itd.

Wziąwszy na kiel można by, przypuszczam, doszperać się różnych takich miejsc wątpliwych, ale, rzecz prosta, nie o to chodzi. W pewnych fragmentach książka robi wrażenie pośpiesznego brulionu, autor czasem niedostatecznie tłumaczy się z rzucanych przez siebie oskarżeń.

Ale, jak powiedziałem, nie chodzi o to, żeby autora, który z takim rozmachem rzuca swoją książkę ku pewnemu celowi, łapać tu i ówdzie za rękę. Słyszałem zarzut, że „Podróż na Zachód” to nie są klasyczne eseje, bo przebiera w niej część anegdotyczną — sprawozdawczą. Może jest w tym odrobina racji, może jakieś proporcje są w tym dziełku zachwiane, ale to wszystko pedantyczne drobiazgi wobec zasadniczej prawdy, że pocisk dochodzi do celu. Kultura świata reakcji jest w tej książce w pasjonujący sposób skompromitowana, jej położenie bez wyjścia unaoczniłoby z drapieżną skrupulatnością — poprzez sprawę literatury, filozofii, plastyki, teatru i obyczajów.

Jest to jedyna w Polsce książka, która o Zachodzie i jego myślowych manowach nie mówi przy pomocy politycznych sloganów, tylko wielkie zjawiska polityczne wyjaśnia językiem intelektualisty, obrazem, metaforą.

Kałużyński potępił Zachód, bo go zna, czego nie da się powiedzieć o dużej części gromadnych publicystów. Stąd u Kałużyńskiego inny odcień stawiania diagnozy, ferowania wyroku: nie kuby z pomyjami, ale wiwieskacja, obszerny i drastyczny opis ruiny. Autor „Podróży”, choć żyje w świecie książek, widowisk i obrazów, ani przez moment nie przybiera postawy estety, jest przez cały czas socjologiem — humanistą wychodzącym z określonej bazy myślowej. Jeżeli podsumujemy to, co już wyżej zostało powiedziane o tej książce, trzy cechy składają się na dużą wartość „Podróży”: atrakcyjna, błyskotliwa metoda informowania i dowodzenia, wielki materiał obserwacji i owa ideowość autora, która ułatwia poruszenie się w obfitym materiale.

Zbigniew Florczak

JANINA PIASKOWSKA

Częstochowskie „Igraszki”

...gdy z ich dziełami obcuje, krąży dokoła nas, przenikając w głąb dusz naszych, zlewając się z naszymi myślami, kierując nimi — wskazuje nieznana dotąd droga.

Leon Schiller

Tak właśnie odczuwamy nieśmiertelność Schillera w jego inscenizacjach. Przypomnijmy sobie ile to było zaklęć nad grobem Schillera obiecujących „nie ustawać” i „umacniać” i „przekazywać pokoleniom”... a ile z tych zaklęć zostało do dziś w teatrach polskich zrealizowanych?

Z uwagą obserwujemy rozwój teatru częstochowskiego, który po „Maskaradzie” Lermontowa wystąpił z Schillerowską inscenizacją „Igraszek z diabłem” Drdy. Widać, że teatr w Częstochowie, w tym czasie, ma zamiar — bo oba te przedstawienia, jakkolwiek odbyły się w Częstochowie, nie miały w sobie ani cienia przysłowiowej częstochowszczyzny. Teatr w Częstochowie, to teatr ambitny i odważny. A że odważnym szczęście sprzyja, więc kierownictwo teatru w osobie dyrektora Krona zbiera zasłużone owoce wysiłków.

Wybór „Igraszek z diabłem” dla publiczności częstochowskiej to również dowód słusznej linii teatru. Moralność sztuki Drdy jest prawdziwie ludzka, laicka, nie dewocyjna. Widać, że teatr spełnia w tej dawnej stolicy dewocji swoje zadanie dobrze, skoro częstochowianie biegną w dyrdy na Drdę, pomimo iż zdawać by się mogło, że komedia opiera się na opowieści, jak to pewnej wiejskiej dziewczęce Kasi i jej przyjaciółce królownie tak się chciało zająć, że aż diabeł duszę gotowe były zaprzętać z tej „dziewczęńskiej potrzeby”. I jak dzielny weteran Marcin Kabat postanowił odebrać diabeł duszę dziewczęci i poszedł do piekła walczyć z zartami o dusze Kasi i królowny. Kabat

checem wołanie królowny... powtarza się wielokrotnie — i to echo stanowi uroczą frazę muzyczną. A dalej — niebo, reprezentowane przez gwiazdnych aniołków wywijających szarzyste poleczki z uciechy, że dobry Kabat zdecydował się iść do piekła bronić dusz dziewczęcych. — Dla kurazja popija Kabat gorzałkę wraz ze zbrojem, który mu wypożyczyła zbrojeczka palce — a aniołeczki klaszczą z uciechy i wywijają nożnymi do taktu. Wszystko odbywa się z naiwną prostotą, w takt poleczki, przy śpiewie rozkosznej piosenki „Gorzałeczka i dziewczeczka”. Spód luźnych anielskich szatek wyglądają pasiaste ponoczoszki i siomiane pantofle. Żeńskie anioły mają misternie, złotiste fioki na głowkach, a męskie na złotych lokach kapelusiki à la Chevalier.

Twórcą kostiumów do „Igraszek z diabłem” jest Otto Axer. Wydaje mi się, że tylko tak można było ozdobić Schillerowskie „Igraszki”. Tylko takie królowny, zbroje, anioły, diabły i pustelniki mogły się śnić Schillerowi — takie ludowe i takie groteskowe.

Szkoda, że teatr w Częstochowie nie mógł mieć również dekoracji Axera. Dekoracje to najsłabsza strona tego widowiska — zwłaszcza kolorystycznie są nieudane. Na szczęście, są to zastawki (były i u Axera, ale jakie!) i po chwili już się zastawek nie widzi, są przesłonięte kostiumami bohaterów, a także czartów i aniołów. Co prawda, anioły częstochowskie były nie tylko piękni, jak z jarmarcznej malowanek, ale i wyjątkowo miłi. I to nie tylko ten mówiący — pan anioł Teofil, ale również cały orszak anielic i aniołów, który tylko śpiewał i tańczył. Ale jak oni to robili! To nie znaczy, żeby piekło w czymkolwiek ustępowało niebu — a broń Boże! Piekło było piekielnie

wienie powinno być stale w repertuarze, choćby z tego względu, że by je móc pokazać, ilekroć przyjadą goście z zagranicy. Przecież to jest właśnie nasz teatr. Nasz narodowy i nasz ludowy. I to wszystko razem w jednym przedstawieniu! Musimy wznawiać wszystkie inscenizacje Schillera z „Pociągami pancernymi” i „Celestyną” włącznie.

Chcąc pokazać Schillerowskie „Igraszki z diabłem” dyrekcja teatru w Częstochowie sięgnęła do jednego z żywych skarbczyków Schillera, a mianowicie przedstawienie powierzono do wyreżyserowania Rudolfowi Ratchce. Jest to podobno jego praca dyplomowa.

Ratchka, pracował szereg lat z Schillerem i był przy ukończonym mistrzu „Mädchen für alles”. Pietyzm i wierność, z jaką Ratchka przekazał nam Schillerowską inscenizację „Igraszek” zasługują na pochwałę i wdzięczność. Tym bardziej, że udało mu się przenieść na scenę w Częstochowie roślinę trudną do przesadzenia — humor, i to humor Schillerowski.

Czas przyprosza i w końcu zalecia nawet najlepszą pamięć. Dlatego z wznowieniami inscenizacji Schillera nie należy zwlekać i dlatego trzeba zmobilizować wszystkie żywoty skarbczyki Schillera w postaci jego asystentów i współpracowników; żeśmy przypadkiem nie dostali kiedyś Schillera „poprawione” i ulepszonego”. Chodzą wieści, że Teatr Polski, który pojechał na występy do Moskwy, zabrał ze sobą — oprócz oficjalnie wymienionych sztuk — także „Kram z piosenkami” Schillera. Dlaczego tylko dla zagranicy? My też chcemy Schillerowskiego „Kramu z piosenkami”. Inszenizacja Schillera to dewizy teatralne, ale takie, co to mogą mieć obieg i w kraju. Myślę, że dla wszystkich ludzi teatru, którzy



to idealny bohater ludowy. Serdecznie dobry, po chłopsku rozumny — a nade wszystko odważny i sprawiedliwy.

Z uśmiechniętą ironią traktuje Drda niebo i piekło, z ciepłą wyrozumiałością człowieka i jego słabości... obłudny pustelnik, który rzekomo żywi się korzonkami — przyjmuje smaczne kąski od diabła — ale gniewa się na anioła, który się raz spóźnił z „chlebem codziennym”. Wszystko to jest mu wybaczone z uśmiechem, dopiero kiedy stary hipokryta popelnia grzech przeciw człowieczeństwu, czarty rzucają się na niego, żeby go wziąć jak swego. Obroni go człowiek — dobry i mądry Kabat znajdzie wyjście i radę nawet dla „świętego”. Ta baśniowa komedia oparta na ludowych podaniach czeskich, napisana przez Drdę w sposób zabawny i świeży, została przez inscenizację Schillera wyeksponowana do ludowej jarmarcznej groteski.

W tekście wprowadził Schiller pewne zmiany zdążające do uwypuklenia rubasznego humoru i komizmu postaci, przede wszystkim aniołów i diabłów. Również w tym tonie zostały dopisane piosenki no i — podstawą inscenizacji stała się muzyka. Rozkosza, wprowadzającą akcję — muzyka.

Już przed podniesieniem kurtyny tej drugiej jarmarcznej — wita nas polka. Poleczka skoczna, wesola, zapowiadająca dobrym ludziom dobrą zabawę, odrobinkę katarynkową polka z jarmarku. Następnie każdy obraz a nawet scena są jakby obrysowane, jakby naświetlone odpowiednią muzyką jak odpowiedniej barwy reflektorem. Pierwsze zachłysnięcie się melodią — to echo w lesie... w lesie, nocą powtarza się

dobre. Dość powiedzieć, że jedną z najlepszych scen w sztuce jest scena w Czarciu Młynie — gdzie diabły grają z Kabatem w karty i gdzie Kabat pożycza pieniędzy do gry od rozmaitych hazardem czartów. Rozkosza jest również scena kuszenia pustelnika przez trzy „gracje”. I scena lamentu w piekle z refrenem „o cholera”. I Sarka Farka, zbroj pokutujący w żoninie koszuli. I ognista Kasia, która wraz ze swoją śliczną przyjaciółką królowną „aż ginie z dziewczęńskiej potrzeby”. I wreszcie finał, gdzie diabły pospół z aniołami, z Kabatem bohaterem, królowną, zbrojem, Kasią i pustelnikiem hasają w takt poleczki śpiewając:

Glo-glo-glo Glo-glo-glo Glo-n ja
Skończ na już ko-me-dy-ja.

Pewne jest, że gdyby Schillerowskie „Igraszki z diabłem” szły w Warszawie, gdzie stale mieszkam, to regularnie co drugi dzień można by mnie było znaleźć na widowni i myśle, że takich chronicznych gości miałby teatr więcej — tylko żyć mu lepiej płatnych, bo ja bywałam za niebieskim biletem.

Ludowa groteska, którą obdarzyli nas Drda i Schiller to najoryginalniejsza i najbardziej uroczą formą komedii, jaką można na scenie oglądać. Łatwo można się w niej doszukać pokrewieństwa z ludową fantazją „Legends o miłości” Hikmeta i — tak oto dochodzimy do skarbów ludowości; tak w czeskich „Igraszkach” jak w tureckiej „Legendzie” jak polskiej w „Krakowiakach i goralach”.

I znowu pytanie. Dlaczego tak długo jesteśmy pozbawieni oglądania w Warszawie Schillerowskiej inscenizacji „Krakowiaków i goralów”? Wydaje mi się, że to przedsta-

mieliście szczęście zetknąć się w pracy z Wielkim Schillerem wznowienie jego inscenizacji to duże i radosne święto — zwłaszcza, jeżeli się patrzy na utwór pełen pogody i humoru.

Niech do tego święta mają prawo wielkie rzesze widzów dzisiejszych i zwłaszcza takich, co jutro do teatru przyjdą; należy im się coś jeszcze prócz legendy.

Janina Piaskowska

UKAZAŁ SIĘ NR 4
MIESIĘCZNIKA
„ZESZYTY
TEORETYCZNO-POLITYCZNE”
1954
(wrzesień)

W numerze m. in.:

O demokracji we wewnątrzpartyjnej.
J. STOROŻEW — O wychowaniu kadr w toku praktycznej pracy.
I. GRUDNIN — O przekształceniu możliwości w rzeczywistość.
BOTVIER I GACON — Prawda o roku 1939.
E. WARGA — O kryzysie w USA.
W. FOSTER — Porażki amerykańskiej polityki „Z pozycji siły”.
M. CACHIN — Odpowiedź oszczercy.
I. KON — Marksistowska etyka a problem obowiązku.

„Zeszyty teoretyczno-polityczne” są do nabycia we wszystkich księgarniach PPK „Ruch” oraz w księgarniach „Domu Książki”. Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje każdy Urząd Pocztowy.

Cena w prenumeracie:
kwartalne zł 12.—
półrocznej zł 24.—
rocznej zł 48.—
Cena pojedynczego zeszytu zł 4.—

„KSIAŻKA

I WIEDZA”



ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Ukazał się numer 9—10 Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego
treści następującej:

- B. MARK — Rzemieślnicy żydowscy w Polsce feudalnej.
A. EISENBACH — Tajne pertraktacje mocarstw zachodnich z III Rzeszą a los ludności żydowskiej (1944 — 1945).
SZ. ZACHARIASZ — Józef Lewartowski — działacz KPP i PPR, organizator ruchu oporu w getcie warszawskim.
A. EISENBACH i A. RUTKOWSKI — Rola generałów hitlerowskich w remilitaryzacji Niemiec zachodnich.
T. BERENSTEIN — O niektórych zagadnieniach gospodarczych w tzw. Generalnej Gubernii w świetle Dziennika Franka.
B. MARK — Nowe dokumenty dotyczące ruchu oporu i powstania w getcie warszawskim.
„W otchłani zbrodni” — kronika oświeścimskiego nieznanego autora.
309 stronnic — Cena zł 6

Wydawnictwa periodyczne Żydowskiego Instytutu Historycznego można prenumerować na r. 1955 w placówkach PPK „Ruch” oraz we wszystkich placówkach pocztowych.

W sprawie kropki nad i...

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w „Nowej Kulturze” z dnia 22 sierpnia r.b. artykuł zatytułowany „Milczenie i ucho igielne” i jako student literatury anglosaskiej pragnąłbym poczynić pewne uwagi w sprawach poruszonych przez autora „Milczenia” Lecha Budreckiego. Uogólniając, powiedziałbym, że w tym snopie światła, który na zagadnienia literatury zachodniej, a anglosaskiej w szczególności rzucił Budrecki, dostarczyć można wiele niepotrzebnych cieni.

Zarzut, które pod adresem wydawnictw u nas stawia Budrecki, to zbyt wąskie „ucho igielne”, które uniemożliwia publikację przekładów wielu wartościowych książek pisarzy zachodnich. Pod adresem krytyków Budrecki stawia żądanie by nie przemilczali wrogich publikacji zachodnich, śmiało polemizowali i „wymierzali sprawiedliwość arealistycznym pamfletom” na świat socjalizmu.

Jak widać jest to zagadnienie istotne i dobrze się stało, że zostało postawione, tylko że autor artykułu zbyt szerokie ramy nakreślił z góry temu problemowi. Jak twierdzi, zbyt wiele wymaga się od pisarza, którego dzieło ma być u nas drukowane, żąda się jeśli już nie aktywnego udziału w postępowych organizacjach robotniczych, to przynajmniej pozytywnych wypowiedzi w obronie pokoju, lub też postawy pacyfisty. Jednym słowem sens wypowiedzi Budreckiego tkwi w postulat, by każde dzieło traktować w oderwaniu od ogólnej postawy jego autora, jako w tym wypadku nie ważnej i nie mogącej zaważyć na szali, gdy chodzi o decyzję: drukować czy nie? Jak z tego wynika — społeczna i artystyczna wartość utworu stanowi pewną wartość bezwzględna, być może, niezależną od zmiennych poglądów jej autora; pisarz umiera, dzieło pozostaje i spełnia swą społeczną funkcję przez długi jeszcze czas. Niektóre książki zachowują trwałe artystyczne wartości, wiernie odwzorowując stosunki swej epoki, wysuwając postępowe hasła, wchodząc na stałe do skarba literatury.

Trudno zaprzeczyć, że kryterium „tylko dzieło” powinno być podstawą do decyzji o publikowaniu; istnieje jednak zagrożenie, obok którego Budrecki się prześlizguje. Można to wyrazić w przykładzie: jest w alfabecie litera „i”, która w swej formie graficznej przedstawia się jako paleczka z kropką; sprawa publikacji tej czy innej pozycji z literatury zachodniej żywo przypomina właśnie tę literę tj., posiada t. zw. popularnie dwa „aspekty”. Paleczka jest pierwszym aspektem i jest bezspornie ważna, prawie najważniejsza, ale bez kropki nie spełnia swej funkcji w stu procentach, gdyż mogłaby być przez nieuwagę czytelnika odczytana jako l i mogłaby, powtarzam, mogłaby zniekształcić sens wyrazu. Kropka zatem spełnia bardzo skromną, choć często ważną funkcję i kursuje o niej znane powiedzenie. Obecnie w okresie nagonki kapitału na obóz socjalizmu postawa autorów książek o których się mówi, że są „inżynierami dusz ludzkich” jest ważna, jak ważna jest owa skromna, kropka nad „i”.

Być może, że za ileś tam lat, gdy zostaną rozwiązane sprzeczności klasowe w skali światowej, będzie się drukować książki bez względu na oblicze ich autorów, teraz jednak bywa na kapitalistycznym parnasie literatury, że pewni „humanści” w swoich dziełach, są zwykłymi ludożercami w życiu publicznym i np. nawołują do... użycia bomby wodorowej w imię właśnie „humanizmu” a więc pośrednio w imieniu swych książek.

Działają większość pisarzy zachodniej ucieka od życia w głąb swych mirażów i szklanych kul depresji. A przecież publikacja każdego współczesnego burżuazyjnego pisarza jest u nas, chcąc nie chcąc, pewnym minimalnym kredytem moralnym, wyrazem choćby najskromniejszego uznania.

Byłoby jednak niesłuszne przypuszczać, że sugeruję tu jakąś zmianę milczenia naszej krytyki wobec literatury zachodniej. Uważam jed-

nak, że z literackim nihilizmem dyskutować trudno. A niewątpliwie takim właśnie rodzajem „twórczości” jest działalność Mickey Spillane, o którym błędnie pisze Budrecki, że jest „czwartorzędnym specem” od powieści „kryminalnych”. Dobrze jest czasem poczytać coś z krajowych publikacji na tematy zachodnie. Gdyby Budrecki wziął do ręki wydaną pół roku temu książkę Kartuna pt. „USA 53” dowiedziałby się kilku istotnych szczegółów o Spillanie.

Wydawcy — pisze Derek Kurtin podjęli wielką kampanię brutalności, której gwiazdą jest Mickey Spillane. Pierwszych pięć książek Spillane’a rozeszło się w 10 milionach egzemplarzy. Centralna postać w nich wszystkich jest prywatny detektyw, morderca, paranoik zbroczony seksualnie, wyczuły z wszelkich skrupułów moralnych, brutalny i niedorozwinięty umysłowo. „Wielkie morderstwo” Spillane’a osiągnęło w jednym wydaniu największy nakład ze wszystkich książek opublikowanych kiedykolwiek w USA; dwa i pół miliona egzemplarzy. W powieści tej ostatniej z serii dwunastu morderstw popchnięcia za cyngiel i zabija kochankę detektywa. „Zdaję sobie z tego sprawę, że moje książki przyciągają się do moralnego upadku naszego pokolenia”, oświadczył Spillane.

Tyle Kartun, który w przeciwieństwie do Budreckiego nie nazywa Spillane’a nieszkodliwym czwartorzędnym specem od kryminałów, a z pewnością jest dobrze poinformowany, gdyż był w USA jako specjalny wysłannik londyńskiego „Daily Workera”. Pragnę dodać, że wielkie książki Spillane’a to nie zwykłe „apolityczne” kryminały. Główny bohater jego powieści ów morderca, specjalizuje się także w tropieniu i mordowaniu komunistów. I dlatego dziś nie jest bardziej groźny np. Taylor Caldwell ze swą wrogoscią do socjalizmu zaważowaną w psychologiczne dymne zasłony. I dlatego dzisiaj literacki kondotier imperializmu Spillane ze swym antykomunistycznym nastawieniem morderca detektywem jest groźniejszy niż ktokolwiek inny z pisarzy: komuż bowiem innemu mogłoby ewentualnie powieścić arcykapłani z pentagonu spełnienie „oczyszczającej” świat z socjalizmu misji zrzucenia bomby wodorowej, jeśli nie człowiekowi pokroju „detektywa mordercy”.

Kiedy przed wojną „Trędowata” Mniszkowski biła rekordy nakładu, wydawiano w prasie literackiej gusty kulturowi mieszczkańskiej, robiono trochę alarmu, gdy szmira miała fantastyczne powodzenie, a poważne powieści znanych autorów nie znajdowały czytelnika masowego, ale przede wszystkim zapomniano, że miała „Trędowata” — jak wiele zresztą innych tego rodzaju utworów — określony cel do spełnienia wyrażony być może przez autorkę nieświadomie, ale będący niewątpliwie celem dażeń jej klasy. Taka literatura kształtowała świadomość lub raczej ubierała nieświadomość, odrywała od „politykowania”. Następstw chyba przypominać nie warto. Dlatego nie można zlekceważyć Spillane’a, ale przeciwnie piętnować podobną literaturę. Świat trzeba uwolnić od „triggerhappy” paskudztwa. Potem będzie można zagłębić się w polemikę z niuansami i wyzwać na dyskusję takich poważnych pisarzy, jak Faulkner, czy Caldwell Tavior.

Nie wiem, czy autor artykułu: „Milczenie i ucho igielne” czytał tak polecane przez siebie „Światło w sierpniu”. Ja nie czytałem tej powieści Faulknera, wpadł mi natomiast w ręce artykuł znanej w Polsce autorki amerykańskiej Barbary Giles pt.: „Południe Faulknera” w którym pisanka między innymi podjęła próbę zasadniczej oceny bohaterki wyżej wzmiankowanej książki. Wypada ona mniej więcej tak: pesymizm i bierność w przyjmowaniu „dopusztów bożych” cechuje wszystkie postaci utworów Faulknera. Stopień tej bierności zależy u poszczególnych bohaterów przeważnie od... koloru ich skóry”.

Giles przytacza znamienny wyjątek właśnie ze „Światła w sierpniu”: Joe Christmas po dokonaniu

dwóch zabójstw usiłuje ująć z rąk pragnącego go złinczować motłochu. Uciekając wpada do domu pewnego pastora i zamierza właśnie go zastrzelić, gdy... „krew murzyńska porwała za pistolet, lecz krew białego wstrzymała rękę. Krew murzyńska wyrzuciła go swymi żądzami poza wszelką możliwość ratunku, wpędziła w szaleństwo dzungli czarnego ładu... i wtedy właśnie czarna krew znów go zawiodła. Nie zamordował pastora. Skuliwszy się za wywróconym stołem pozwolił wbiegającym zastrzelić się trzymając w ręku nabyty i nie wystrzelony pistolet”.

Nie jeden z naszych żarzących dostojowszczyzn inteligentów wpadłby w zachwyt przy takim rozwiązaniu potęgą głosu krwini... zew niedogadanych mocy... Inni wtulaczaliby to sobie być może jako dowód niedzielnosci rasy czarnej do podjęcia decyzji, jako dowód supremacji rasy białej, czy wręczcie jakimś innym złowrogim absurdem. Faulkner jest jednak jak się zdaje bardziej konsekwentny niżby się po nim można spodziewać. W zakończeniu innej powieści pt. „Absalom, Absalom” z wielkiej rodziny białych pozostaje już tylko Jim Bond, tpey i niedorozwinięty mieszaniec. Otóż pewien młodzieniec „biały czystej krwi” taką mu przepowiada przyszłość: Sądze, że tacy jak Jim Bond podbiją półkulę zachodnią. W miarę jak się będą rozprzestrzeniać ku biegomun wybieleja z pewnością jak ptaki czy kręki. Mimo to zawsze zostaną tym czym byli.

Trudno jest mi jednak oprzeć się wrażeniu, że istotnie mogłoby się ukazywać u nas więcej pozycji literatury pięknej zachodu. Jako student filologii anglosaskiej czuję szczerą żal do czynników selekcyjnych książki do publikacji za niewydanie dotąd „Gron Gniewu” Steinbecka, czy nowel Erskine Caldwell. Uważam, że wnikiwe przedstawienie tych autorów, a zwłaszcza „Gron Gniewu”, nie dyskwalifikuje ich, ale przeciwnie ukazanie się ich w przekładzie polskim może pomóc w zwalczaniu „bikiniarzy kulturalnych”, którzy korzystając z błędów polityki wydawniczej eksploatują beczelnie tych autorów jako swych duchowych inspiratorów. Chociaż obecnie Steinbeck czy Caldwell są równie dalecy od socjalizmu, jak wczoraj czy przedwczoraj, to jednak gros ich twórczości literackiej z pewnością wejdzie do skarba literatury światowej, a postawa ich samych nie jest tego rodzaju, by można lekką ręką machnąć na nich. Nie znaczy to oczywiście, że wszystkie książki wspomnianych pisarzy trzeba publikować. Dobry i zajmujący wstęp byłby konieczny i pożyteczny. Gdyby zaś okazało się, że pisarze ci przekreślili swe związki z postępowością koniecznie) powinny się zaprzestać publikacji. Gdyby

natomiast, jak radzi Budrecki, podjąć szeroką dyskusję również z takimi autorami jak George Orwell, autor „Zwierzęcego gospodarstwa”, dzielnego paszkwilu na ZSRR i pisarza, który bronił renegata Ezry Pounda, gdy przynano mu nagrodę biblioteki kongresu USA, argumentując, że chociaż antysemitkę wystąpienie Pounda było wstrętne, „jako artysta jest on bez „zarzutu” — oznaczałoby to dyskusję z ludźmi o sumieniach „artystycznie” zamkniętych do tego stopnia, że nie wiele przypominają ludzkie. Howard Fast w swej wspaniałej i żarzącej się ogniem bezlitosnej krytyce rozprawie „Illusion and reality” przytacza cytaty z powieści Orwella zatytułowanej „Rok 1984”. Rozmowa dwu bohaterów: „Czy jesteś gotów kłamać, szantażować, fałszować dokumenty, deprawować umysły dzieci, rozdawać zabójcze narkotyki, zachęcać do prostytucji, rozszerzać choroby weneryczne, jednym słowem czynić wszystko, co może spowodować demoralizację i osłabić siłę Partii?”

„Tak” odpowiada „antykomunistyczny bohater”. „A gdyby przypadkiem leżało w naszym interesie chlusnąć kwasem siarkowym w twarz dziecka — czy dobyłbyś się na to?”

I po raz drugi antykomunistyczny olimpijczyk potwierdza zdolność dokonania każdego czynu.

George Orwell nie kryje się ze swoimi trockistowskimi przekonaniami mając za sobą praktykę policjanta w Indiach. Trudno pogodzić się z opinią Budreckiego, że można by na ten temat polemizować. Trzeba natomiast zgodzić się z Fastem, że miejsce właściwe dla tego rodzaju literatury jest na śmietniku.

Orwell idzie jednak jeszcze dalej w swojej nienawiści dla wszystkich, co ludzkie. Na temat Pounda dorzuca on kilka uwag: „Mogłoby być na przykład niepożądane udzielenie mu (Poundowi) nagrody, gdy duszono Żydów w komorach gazowych. Ale dziś wszakże ta przetrwała nie istnieje”. Nie jest rzeczą, nową, że kultura burżuazyjna jest głównie kulturą zżęcnego kłamstwa, jednak to co się dzieje obecnie między innymi w literaturze zachodniej przypomina ostatnie dni literatury Rzymu starożytnego, monstrualne wynaturzenie i odrealnienie — niezbita cechy zaawansowanego rozkładu.

Nie jest zatem źle, że pewne ucho igielne służy jako filtr dla nieczystości. Ważne jest jednak, by wszystko co ludzkie i twórcze, nawet jeśli czasem zrodzone z pesymizmu znalazło do nas drogę. A jeżeli ktoś pozna tę Amerykę z powieści Fast’a i dopełni ją obrazem Ameryki Steinbecka z „Gron gniewu” czy Erskine Caldwell’a z „Polećka Pana Boga” nie zejdzie na manowce. Raczej spojrz głębiej na życie bardziej w trzecim wymiarze.

Jan Osmólski

Listy Bormanna czyli pochwała tępoty

Czyta się to świeżo po raz pierwszy wydane wyjątki z listów Martina Bormanna) jakby nową odmianą literatury nonsensu. Lektura tych listów, to wędrować po krainie dziwactw. Takie jest pierwsze wrażenie...

Pokazny tom ogłoszony kilka miesięcy temu drukiem zawiera prywatną korespondencję szefa kancelarii partyjnej NSDAP i następcy Rudolfa Hessa od r. 1941, a od r. 1943 sekretarza Hitlera, który pozostał w bunkrze Reichskanzli przy swym Führerze do ostatniej chwili, i który wyszedł ze schronu dopiero po śmierci wodza po otrzymaniu wpróż od niego formalnego zezwolenia.

Nie trzeba dziś przypominać, kim był Bormann, jaki olbrzymi wkład w dzieło zbrodni i zniszczenia. Bardziej interesujący jest może fakt, że do ukończenia procesu norymberskiego nie dysponowano dostatecznymi dowodami na jego losy. Nie wiadomo było, czy Bormannowi udało się w końcu uciec, cało w ostatniej chwili z bunkra Reichskanzli. Wiadomo tylko, że w kwietniu 1945 przebywał on jeszcze wraz z Goebbelsem w bunkrze, że był uczestnikiem wszystkich narad prowadzonych w ostatnich dniach III Rzeszy, że był świadkiem makabrycznego ślubu Hitlera z Ewą Braun, że podpisał jako świadek testament do narodu niemieckiego ułożony przez Hitlera, że został przez wodza mianowany wykonawcą jego ostatniej woli i desygnowany na stanowisko kanclerza w rządzie, który miał przysięść utworzyć następcę Hitlera. Po samobójstwie wodza Bormann osobiście dyrygował ceremoniałem spalenia jego zwłok i próbował nawiązać kontakt z admirałem Donitzem, który przebywał wówczas w Płoc. Ponieważ to się nie udało, postanowił na czele garstki „wierniejszych”, która wraz z nim została jeszcze w bunkrze, przedrzeć się przez linie frontu. Widziano go jeszcze po wybuchu bomby, która zdiesiątkowała tę grupę na Weidendammer Brücke. Wtedy po przebraniu się w cywilne ubranie parł dalej na Zachód, by za wszelką cenę przejść do niemieckich amerykańskich. W toku nocnego marszu i ciągłych potyczek oddzielony został od towarzyszącej z każdą chwilą grupy swych przyjaciół i od tej chwili ślad po nim zaginął.

Jedynie przywódca młodzieży hitlerowskiej Artur Axmann stwierdza, że widział ciało zabitego Bormanna leżące na drodze i w świetle księżyca był w stanie dokładnie rozpoznać jego rysy). Świadcstwo jednego i to w dodatku zainteresowanego w śmierci Bormanna świadka nie wydawało się Trybunałowi dostateczne dla uznania Bormanna za zmarłego i dlatego skazano go zaocznie na karę śmierci.

W r. 1954 wydano w Londynie prywatną korespondencję Martina Bormanna, zaopatrzoną listy do jego żony za czas od stycznia 1943 do kwietnia 1945 w dwa pokazne, pełne pochwał wstępów.)

Wyjątek z listów tego autora pt. „Miedzy Norymbergą a Berlinem” i „Europejska Kierunkowa” na przełomie 1943 i 1944 roku, nie ma leckiego, która ukazała się niebawem nakładem Wyd. MON.

KORRESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

W sprawie pewnej recenzji

W nrze 33 „Życia Literackiego” przeczytałem recenzję cyklu wierszy opublikowanego w „Życiu Literackim” o Giordanie Brunie. Krytyków spracowali się na owym cyklu. Ale ocena Herdegen jest krzywdząca, a kryteria biedne, formalistyczne.

Zaraz na początku takie zdanie: „Ten cykl wierszy ma wspólny temat — bo przy znacznym rozluźnieniu konstrukcji nie może przecież być mowy o poemacie...”

Wiadomo, że konstrukcja wielu znakomitych poematów bywa bardzo luźna. Poematy, nie tylko choćby Neruda, składają się z poszczególnych wierszy, od tego zależy ich wartość. Rzecz postawiona została po to, aby zacząć nieprzychylnie, aby gromadzić zarzuty. Pierwszy już jest.

Herdegen nie dostrzegł motu książki, które zadecydowały o formie kompozycji. Poetyckie uzasadnienie tego motu było moim celem. A czy można ukazać wale nie podając faktów z życia bohatera? Herdegen zaleca mi „wnikanie w psychikę” Bruna, jakby tego brakowało w poemacie. Żąda szukania osobistych przeżyć uczono. Dłama ich oś. Ale za nieoposzczalnym uważam myślenie, dla eklektu, przeżyć, których nie

Bruno jest postacią realną — i, moim skromnym zdaniem, lepiej i słuszniej jest ukazać go w prawdziwych obrazach z jego życia, niż komponować fakty nie realne. Lepiej też nie konstruować motywów działania, skoro one istniały — i to najgłębiej i najpikniej.

Nie wiem zresztą, co Herdegen uważa za osobiste przeżycia! Sądze, że nieustannie borykając się Bruna z wstępnictwem i związane z tym koleje jego losu — to byłby jednak przeżycie, przy którym wszystkie inne bledną. Dużo ważniejsze, niż gdybym ukazała jakiś zmyślony, wobec braku biograficznych danych, jego romans.

Głębsza myśl Bruna i walka o nową, naukową — nie miałyby na pewno spójności z źródłem powstania poematu. Ale Herdegen pisze, że „cykl obciążony jest starym błędem opiewo-”

„Opisowość” — pisze krytyk — „prowadzi do wielu uproszczeń i naiwności intelektualnej, jak historycznych, tak w tendencyjnym naszym sprawozdaniu staraliśmy się ukazać...”

Nie, nie ukazał Herdegen w swym rzeczycy tendencyjnym sprawozdaniu ani jednej naiwności czy uproszczenia. Nie ma w tym „Życiu Literackim” ideologicznych uogólnień. Natomiast recenzentowi ocenie książki po omacku i uogólnianie zarzutów nie wychodzi na dobre. Jego zarzuty są zresztą z rzędu tych, które trudno sprawdzić, więc, gdy się chce książkę zaskądzić, można się nimi posłużyć bezkarnie.

Herdegen radzi mi „konstruowanie psychiki bohatera”. To bardzo nierealistyczne podejście, niemal mistyczne. Wydał się krytykowi, że tylko takie „konstruowanie” może stanowić tak zdołny krytyk z tej właśnie racji pisze tak słabą recenzję. Psychika konstruowana byłaby zależna od autora — nie od prawdy. W stosunku do Bruna, w którego życiu prawda była tak bogata, że nie potrzebowała upiększeń, wystręgała się tego rodzaju zmyślenia.

I jeśli na zadanie wydawnictwa poszerzyłam rzecz o strofy mówiące o dzieciństwie Bruna, co rzeczywiście nadało poematom charakter bardziej biograficzny.

Gawęda staromiejska

(Dokończenie ze str. 5)

oczach babel — pierworodny, ten najkochoński.

Wtedy dziadek chrząka niezdarne, wstaje, podnosi zgarbioną babcię i obejmuję ją.

— Matko! — mówi głosem surowym, twardym, latami nie starganym — on doczekał!

Wyciąga rękę w okno, wskazuje na domy, światła, na rzekę leniwie i szeroko płynącą, na świetną kłamrę mostu...

— Czy ty go tu nie widziałeś? Nie

graficzny — nie żaluję tego. Dzieciństwo Bruna było zawieszane na kształtowaniu się jego postawy filozoficznej. Nigdy nie wystarczał wnikanie w psychikę bohatera (którego to wnikanie można, gdy kto zechce, nadużywać do woli), bez znajomości sytuacji, w jakiej znajdował się w danym momencie swej działalności. Operowanie tych spraw o mgłę i galarety wydaje mi się mironką, i niech ją stosują ci, którzy nie wiedzą o czym chcą pisać.

Zaczając tu mimochodem, że Herdegen mylnie uważa czas, w którym żył Bruno za „okres Renesansu u szczytu jego rozwoju”. To był schyłek epoki Odrodzenia.

Poemat został ujęty problemowo, nie opisowo. I na pewno więcej można by na problemowość tego poematu przytoczyć przykłady. Natomiast ujęcie, jakie proponuje Herdegen, byłoby dla mnie nie do przyjęcia. Nie pisałam o „duchu” Bruna, ale o nim samym. Duchy zostawiam tym, którzy koczają się w górnołocnym mniemaniu, bo stał się umyślnie łatwy się poza nimi głębi domyślać.

Orzywiście na pewno nie w poemacie miejsca słabsze i lepsze. Ale lepszych krytyk nie widzi, ani jednym zdaniem nie podkreśla — zbywa ogólnikiem w rodzaju: „to nie znaczy, że poeta źle pisze, że wapiemy w jej talent, inwencję, stylizację...” A ja prze-passus, że „czytelnik nie z takiej lektury nie zyskuje (po co mówić za czytelników, kiedy oni właśnie są zupełnie przeciwnego zdania) i woli sięgnąć po encyklopedię czy dobry esej naukowy” — to więcej nie ja! „To szczyt n e sporozumienia i nihilizmu czystej wody. Bo, pomijając stwierdzenie, że w encyklopedii znajdzie czytelnik zaledwie kilka linijek na temat Bruna, a esęów o nim brak, gadaninę tego rodzaju można zdyskredytować wszystko, co recenzent zdyskredytował za darmo...”

Książka moja jest pierwszym poematem o Giordanie Brunie, jest w ogóle pierwszym ujęciem postaci Bruna w naszej literaturze. Sprawa nie jest prosta — choć s. Kard genowi wydaje, że to tylko tak: obraz i refleksja, obraz i refleksja... Poitrzebne są przemysłowe recenzje, nie pisane, aby zbyle i aby autorowi szkodzić, aby go krzywdzić. Brak odpowiedzialności za słowo — to sprawa aż nazbyt często się zdarzająca, aby ją należało pomijać na przykład.

Janina Brzostowska

Warszawa

Z życia ZLP

POCZĄTEK PRACY SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP W WARSZAWIE

11.X br. godz. 16 zebranie sekcji satyry. Część I poświęcona sprawom organizacyjnym. W części II referat Zofii Bystrzyckiej o „Tematyce wierskiej w satyrze” i dyskusja.

12.X br. o godz. 17 odbędzie się zebranie sekcji dramatu poświęcone omówieniu występu Theatra Narodowego „Populiste”. Referuje kol. Z. Siolacki.

13.X br. godz. 17 zebranie zorganizowane przez sekcję poezji i prozy wespół z Instytutem Badań Literackich, poświęcone omówieniu podręcznika historii literatury polskiej dr. klasy X prof. Kazimierza Wyki. Referat o „Romanie w podręczniku” wygłosi Adam Ważyk.

14.X br. godz. 18 zebranie sekcji powieści i powieści.

15.X br. godz. 19 zebranie sekcji powieści i powieści.

16.X br. godz. 20 zebranie sekcji powieści i powieści.

17.X br. godz. 21 zebranie sekcji powieści i powieści.

18.X br. godz. 22 zebranie sekcji powieści i powieści.

19.X br. godz. 23 zebranie sekcji powieści i powieści.

20.X br. godz. 24 zebranie sekcji powieści i powieści.

21.X br. godz. 25 zebranie sekcji powieści i powieści.

22.X br. godz. 26 zebranie sekcji powieści i powieści.

23.X br. godz. 27 zebranie sekcji powieści i powieści.

24.X br. godz. 28 zebranie sekcji powieści i powieści.

25.X br. godz. 29 zebranie sekcji powieści i powieści.

26.X br. godz. 30 zebranie sekcji powieści i powieści.

27.X br. godz. 31 zebranie sekcji powieści i powieści.

28.X br. godz. 32 zebranie sekcji powieści i powieści.

29.X br. godz. 33 zebranie sekcji powieści i powieści.

30.X br. godz. 34 zebranie sekcji powieści i powieści.

31.X br. godz. 35 zebranie sekcji powieści i powieści.

32.X br. godz. 36 zebranie sekcji powieści i powieści.

33.X br. godz. 37 zebranie sekcji powieści i powieści.

34.X br. godz. 38 zebranie sekcji powieści i powieści.

35.X br. godz. 39 zebranie sekcji powieści i powieści.

36.X br. godz. 40 zebranie sekcji powieści i powieści.

37.X br. godz. 41 zebranie sekcji powieści i powieści.

38.X br. godz. 42 zebranie sekcji powieści i powieści.

39.X br. godz. 43 zebranie sekcji powieści i powieści.

40.X br. godz. 44 zebranie sekcji powieści i powieści.

41.X br. godz. 45 zebranie sekcji powieści i powieści.

42.X br. godz. 46 zebranie sekcji powieści i powieści.

43.X br. godz. 47 zebranie sekcji powieści i powieści.

44.X br. godz. 48 zebranie sekcji powieści i powieści.

45.X br. godz. 49 zebranie sekcji powieści i powieści.

46.X br. godz. 50 zebranie sekcji powieści i powieści.

47.X br. godz. 51 zebranie sekcji powieści i powieści.

48.X br. godz. 52 zebranie sekcji powieści i powieści.

49.X br. godz. 53 zebranie sekcji powieści i powieści.

50.X br. godz. 54 zebranie sekcji powieści i powieści.

51.X br. godz. 55 zebranie sekcji powieści i powieści.

52.X br. godz. 56 zebranie sekcji powieści i powieści.

53.X br. godz. 57 zebranie sekcji powieści i powieści.

54.X br. godz. 58 zebranie sekcji powieści i powieści.

55.X br. godz. 59 zebranie sekcji powieści i powieści.

56.X br. godz. 60 zebranie sekcji powieści i powieści.

57.X br. godz. 61 zebranie sekcji powieści i powieści.

58.X br. godz. 62 zebranie sekcji powieści i powieści.

59.X br. godz. 63 zebranie sekcji powieści i powieści.

60.X br. godz. 64 zebranie sekcji powieści i powieści.

61.X br. godz. 65 zebranie sekcji powieści i powieści.

62.X br. godz. 66 zebranie sekcji powieści i powieści.

63.X br. godz. 67 zebranie sekcji powieści i powieści.

64.X br. godz. 68 zebranie sekcji powieści i powieści.

65.X br. godz. 69 zebranie sekcji powieści i powieści.

66.X br. godz. 70 zebranie sekcji powieści i powieści.

67.X br. godz. 71 zebranie sekcji powieści i powieści.

68.X br. godz. 72 zebranie sekcji powieści i powieści.

69.X br. godz. 73 zebranie sekcji powieści i powieści.

70.X br. godz. 74 zebranie sekcji powieści i powieści.

7

ZBIGNIEW STOLAREK

Obraz, którego nie malował Goya



„REVISIT GUATEMALA” — zaprasza napis tłoczony grubą czcionką na publikacji z New-Orleans. ODWIEDZAJCIE ZNÓW GWA-TEMALE.

„REVISIT GUATEMALA — znowu są wasze, byście się mogli nimi nacieszyć, uroki Gwatemali... przybawajcie oglądać jej wspaniałe jeziora, jej szczyty olbrzymie... odnówcie znajomość z jej ludem gościnnym...”

Wiem: polyskuje migotliwą falą jezioro, znad którego brzegów idą o świcie kobiety, niosąc na głowach dzbany pełne wody. Powietrze, jeszcze dzwiczne jak kryształ, szybko wzbiera słońcem i staje się coraz cięższe, niczym przejrzysta gąbka nasiąkająca wciąż mocniej falą upału. Grają kolorami samodzielnymi ubiorów kobiecych, szeszczą rdzawe liście kukurydzy, chylą się kukurydziane kolby dojrzewając

„REVISIT GUATEMALA... w czwartek 12 sierpnia „S.S. Jamaika” wznowi swą służbę dla wygodny wycieczek organizowanych przez „United Fruit Company” ku fascynującej Gwatemali. Trzy dni na płaskowyżu tego cudownego kraju... dwa dni w Hawanie... resztę czasu na morzu, gdzie statkom przewidzianym dla wycieczek tropikalnych nie nie zbywa na tradycyjnym komforcie...”

Po co by więc wspominać dawnego boga, władcę nad siedmioma piekłami, o czasie odartej z ciała, o żebrach ociekających krwią, o skórze poznaczonej czarnymi kręgami jak zwiłki w rozkładzie? Po co przywoływać jego imię (którego hieroglifem jest trupia głowa), skoro tak grubą czcionką wypisane zostało imię

„United Fruit Company”?... REVISIT GUATEMALA



pany” mogła położyć swą łapę na bogactwach kraju i zawiadomić cieszących się dobrym samopoczuciem turystów amerykańskich, że „SS Jamaika” podnosi kotwicę w dniu 26 sierpnia”.

Na jednej fotografii — jak na obrazie, którego stworzyć nie zdążył Goya — powoli łamią się w pół cztery postacie, na próżno usiłujące w przedśmiertnym skurczu chociażby ramiona szerzej rozrucić, aby płuca, zamierające jak rozdarte miech, mogły zaczerpnąć ostatni haust powietrza. Stalowe obręcze kajdanek, którymi skuto im dłonie, są mocniejsze. Jeszcze snuje się, jeszcze się kłębi pod wysokim murem dym po egzekucyjnej salwie. Jeszcze rozstrzelani stoją, można by pomyśleć, że stoją, choć przecież trwać to będzie przez ułamek sekundy tak krótki, że wobec niego refleksy światła na hełmach mo-

dzy martwo zwisająca na złamanej łądydze. Nieruchomo sterczą bosa stopy. Ach, jak żywy, jak bardzo jest żywy w porównaniu z tymi bosymi stopami but zamasyście kroczącego i zapatrzonego w modlitewnik księdza! Za nim, w głębi: hełmy, czapki wojskowe i mundury tak bardzo przypominające swoim krojem mundury z obszarów między Nowym Jorkiem a San Francisco. Za chwilę wszyscy rozejdą się. Na gładkim murze widnieją głębokie ślady kul... Zostaną.

„REVISIT GUATEMALA. Po czwarty od 26 sierpnia odjazdy statków co czwartek. „SS Chiriqui” i „SS Jamaika”: 265 dolarów (plus taksy). Zwracajcie się do waszej agencji turystycznej lub do „United Fruit Company” 321, St. Charles Street, New-Orleans 4, Luizjana”.

*

Myślę o Tobie, którego twarzy nigdy nie widziałem a więc nie potrafiłbym jej rozpoznać ani wśród żywych, ani wśród rozstrzelanych, o Tobie, poeto gwatemalski, Otto Raul Gonzalesie, którego wiersze, wydane co najmniej przed rokiem, czytałem nie tak dawno. Pamiętam je, a szczególnie tę strofę, która dziś brzmi jak przecucie i jak najmocniejsza odpowiedź:

— Czy jest coś, co mierzy prosto w serce

i celniej mierzy niż kula?
— Tak, miłość do Gwatemali.

Jest ta odpowiedź (w wierszu daje ją poecie jego rodak, człowiek z Gwatemali) jak żywe srebro, którego nie zdołają unicestwić uderzenia obucha, choćby bił on z całą siłą, na jaką stać kapitalistyczną machinę.

— Si el amor de Guatemala... Słowa wiersza — lecz za nimi jest oddech szeroki, nie do ujarzmienia, nie do powstrzymania, jak wiatr, który umie sztandary rozwijać i szumieć również w liściach kukurydzy rosnącej na obszarach pół tak wielkich, że chcą je w pełni ogarnąć, aż po horyzont wolności, trzeba oczom dać dalekowzroczność serca.

Czytałem, że niegdyś mieszkańcy twojej ojczyzny, Mayowie, wyruszając z okolic dzisiejszej Kalifornii czy Florydy, kierowali się na południe w poszukiwaniu krainy, którą nazwali „ziemią bez zła”. Siedli wówczas ich śladem odradzający Ah Puch, porzeczany przez psa, ptaka-płazkę i sowę — zwiastunów złej wieści. Dziś przez twój kraj idzie — krok w krok z zaboorem, wyzyskiem i kulą karabinową — amerykański trust. Ale jest siła — nazwałś ją przecież po imieniu — mocniejsza od kuli.

Zbigniew Stolarek



jednym ziarnem, i krąży słodczy w łądygach trziny cukrowej, i unosi się aromat kawy nad urodzajnymi obszarami „tierras templadas”. Ale każdy obraz, ledwo przywołany pod powieką, umyka i mętnieje, jakby oczy kleiła mi swoim gęstym sokiem „chicla” — ta sama, którą wywozi się stąd, by od Nowego Jorku po San Francisco mogły poruszać się szczęki żując gumę do żucia.

Odchodzi ode mnie myśl o pięknie tamtejszego krajobrazu i o arcydziełach tej sztuki, którą przed wiekami stworzyła tam kultura Mayów przekazując ją potomności i mojemu wzruszeniu...

Czy Ah Puch, bóg śmierci w mitologii Mayów, wie, jak daleko dobiega echo salw egzekucyjnych?... Po co jednak wspominać boga Ah Pucha i towarzyszącego mu psa, i ptaka-płazkę, i sowę, które są zwiastunami złej wieści? Po co? — jeżeli tłoczony grubymi czcionkami napis zaprasza tak radośnie:

Oczy nie dopuszczają do siebie uroków krajobrazu — jakby musiały być otwarte jedynie dla tekstu propagandowej broszury „United Fruit Company” i dla tych dwóch fotografii, które leżą przede mną, choć pozornie nie mają nic wspólnego z ową broszurą.

Fotografie są czarno-białe. Nie wiadać więc na nich tego krwistego oblasku, jaki bije z obrazu Goyi, przedstawiającego scenę rozstrzelania w górach Hiszpanii, gdzie karabiny plutonu egzekucyjnego mierzają w pierś ludzi jeszcze w owej sekundzie żywych, gdzie naprzeciw salwom wybiega bezbronny a przecież mocny jak trzęsienie ziemi rozrzuć rąk chłopca w białej koszuli.

Fotografie są czarno-białe. Nie tworzyła ich ręka artysty pragnącego w słusznym proteście i sprawnym gniewie spotęgować wywołanie sekunda. Tak jak zastała ich ostatnia sekunda agonii. Z głową dziwnie skreconą, jakby to była nie głowa ludzka lecz kolba kukury-

ga się wydać czymś nieprzemijającym.

Na drugim zdjęciu już nie ma dymów i nie ma stojących postaci pod murem...

Na żyłowej twarzy jęgości, który idzie nie opodal, z szykownym kapeluszem i z aparatem fotograficznym w ręku, maluje się odraz, czy może niechęć, czy może niepokój, że zdjęcia, jakie zrobił przed chwilą, okazały się niedostatecznie ostre. Ach, jak długi jest jego cień, cień idącego człowieka, w porównaniu z cieniem tych, którzy tu leżą — z owym cieniem skurczonym, przypadłym do ich ciał, z cieniem krótkim, jak to bywa o przełomowej godzinie na zegarze słonecznym, bo tak się on nazywa przecież — słoneczny — choć tutaj już noc o tej pełnej słońca porze. Leżą jeden za drugim. Tak jak zastała ich ostatnia sekunda agonii. Z głową dziwnie skreconą, jakby to była nie głowa ludzka lecz kolba kukury-

STANISŁAW ZIEMBICKI

Trzęsienie ziemi w Orleansville

Bylem z wami w strzelających przepaściach tej nocy.

Ten wstrząs wnętrza mojego pokoju obnażył.

Podawałem ręce Arabom szepczącym pomocy.

Biegłem boso po szkle z tysiąca zerwanych okien.

Niosłem jodynę i len kojący, garście bandaży.

I ocierałem lzy z suchych, brązowych twarzy.

Serce przebyło Alpy i Morza jednym skokiem.

O, ludzie z Orleansville! Ziemia moja rodzinna

Łagodna jest jak owca schodząca do wodopoju.

Tu tylko wiatr porusza na mazowieckich równinach

Dym jałowcowy i włos czeszących się w polu kobiet.

Tu ziemia pęka, gdy wiosną porusza się w niej roślina,

Słychać drżenie korzeni, gdy drzewa się stroją...

A jednak moje miasta widziałem w ruinach!

Widzę ból przeraźliwy w żrenicy arabskiej matki

I słyszę zawołanie nad ruiną dzwonu,

Co zerwany z katedry zakrył dziecka szczątki.

Widzę zwalony tum cesarza Konstantyna

I ludzi pogrzebanych w piaszczystych szczelinach

I pusty nieba dach nad ocalałą głową

I rozległe, kwitnące Algeru majątki...

Jestem z tych, co dom swój mają w każdym powszednim domu,

Wszystkie wody Afryki płyną moją Wisłą.

We wsi Beni-Derdjine zaniemówiłem o grobu.

Szedłem przez piach upalny niosąc pół kołyski.

Straszny był gniew mój, że nie mam na wściekłość ziemi sposobu,

Nie zatrzymuję ciosów podziemnego gromu,

Co bije w miasta spokojne jak faszystowskie pociski.

O, ludzie z Orleansville! Choć do Warszawy nie sięga

Szalona lawa wulkanów, ani podziemna febra,

Ani wiatr oceanów, który tajfuny wyprzega —

Ja jestem z tych, którzy mają na świat otwarte sumienia,

Którzy ręce wbijają w pokłady żelaza i węgla,

Aby uchwycić ziemię za rozpalone ścięgna,

Aby nie drżała ziemia.

K. Nast.